

● POLEMIKI - LISTY - DYSKUSJE ● BUSH PO POLSKU ● WIELKIE RZNIĘCIE  
W KAZIMIERZU ● PIĄTY TRUP W PONIATOWEJ ● FIZYK W GANDAWIE  
● PAWLUCZUK W LONDYNIE ● Z BIEGIEM BUGU ● OBÓZ W SKROBOWIE

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

# relacje

LUBLIN, 20 - 26 VII 1989 R.

NR 27

CENA 70 ZŁ

**„Porody w hipnozie nigdy nie zastąpią tradycyjnych, choć na pewno mają przyszłość...”**

## TAM, GDZIE ROSNĄ POZIOMKI

Waldemar Piasecki

**D**O CENT Marian Bielecki, kierownik Kliniki Położnictwa białostockiej Akademii Medycznej jest człowiekiem publicznego pożądanego. Do kliniki (działającej w strukturze Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej im. Marii Curie-Skłodowskiej) przy ulicy Warszawskiej zgłaszają się już nie dziesiątki, ale setki potencjalnych matek, które chciałyby rodzić pod hipnozą. Wygląda na to, że padł ofiarą swego nowatorstwa.

— Nigdy nie przypuszczałem, że pójdzę to w takim kierunku. Decydując się z bioenergoterapeutą inż. Zdzisławem Jabłonowskim na eksperymentalne zastosowanie hipnozy w porodzie, w czerwcu ubiegłego roku, mieliśmy na celu nie zapoczątkowanie jakiejś masowej tendencji czy mody, a jedynie poszukiwanie nowych dróg w naturalnym znoszeniu bólu, gdy występuje patologiczna nadwrażliwość, lub gdy nie są skuteczne środki znieczulające. Sam jestem raczej zwolennikiem zasady, że aktowi rodzenia powinien towarzyszyć ból utrwalający to przeżycie w psychice kobiety. W żadnym wypadku nie może to być ból destrukcyjny, patologicznie ingerujący w sferę fizyczną i psychiczną rodzącej. Dlatego chcieliśmy ustalić, czy w wybranych wcześniej przypadkach, gdzie takie zagrożenia były duże, hipnoza może okazać się pomocna.

Zdzisław Jabłonowski jest znanym nie tylko w Białymstoku bioenergoterapeutą. Protestuje, gdy mówi się o nim: hipnotyzer. Równie dobrze można by mówić, że jest radiesteta, bo w tej dziedzinie też jest specjalistą. Swoje predyspozycje dostrzegł na studiach. Wiele czytał, starał się je rozwijać, doskonalić. Na dobrą sprawę pomyślał o przekwalifikowaniu się po pierwszych skutecznych kontaktach z

ludźmi cierpiącymi. Uznał, że jako healer może więcej zrobić niż jako inżynier. Dziś Jabłonowski jest właścicielem pierwszego prywatnego zakładu odnowy biologicznej „Izyda”, w którym przyjmuje w wyznaczone dni po 50—60 osób. Pracują w nim oprócz niego także specjaliści innych dziedzin: walki z bólem, psychiatrii, psychologii, neurologii, interny. Utrzymuje także stały kontakt z kliniką docenta Bieleckiego. Wygląda na to, że będzie to kontakt dłuższy...

Mówi:

— Właściwie zamysł porodu w hipnozie, a konkretnie jego praktyczne przeprowadzenie, powstał z konieczności. Joanna Szymańska, moja koleżanka urodziła przed ośmioma laty dziecko z poważnymi komplikacjami. Poród był długi, dziesięciogodzinny, wyczerpujący fizycznie, a przede wszystkim pozostawił u Joanny absolutną niechęć do rodzenia kiedykolwiek w życiu ze względu na ból, który — jak mi mówiła — omal jej nie zabił. Po latach ta awersja utrzymywała się, ale przybrała nieco inny charakter. Joasia przepytowała mnie czy możliwe jest urodzenie pod hipnozą i czy ze swoim doświadczeniem podjąłbym się takiego zabiegu. Zaczęłam czytać podręczniki ginekologii i położnictwa. Przypadki porodów pod hipnozą były naturalnie znane, ale u



Joanna Szymańska i jej córka Magda. Szczęśliwa matka twierdzi, że poród w hipnozie jest wielką szansą...

Fot. Waldemar Piasecki

nas nikt się tym nie zajmował i nie miał praktycznych doświadczeń. Jak się zorientowałem, zasadniczym problemem w porodzie w stanie hipnotycznym wydawał się problem sterowania mięśniami gładkimi macicy; przedłużaniem czasu i siły skurczu. To wydawało mi się kwestią zasadniczą, bo mogło w istotny sposób przyspieszyć poród. Można też było pójść inną drogą. Pozostawić przebieg porodu fizjologii, a skoncentrować się na „przeniesieniu” rodzącej w inny wymiar tak, by nie zdawała sobie sprawy z sytuacji w jakiej się znajduje. Jako niefachowiec bardzo chciałem te swoje przemyślenia przedyskutować, ale nie napotkałem specjalnego zainteresowania środowiska gine-

kologicznego. Dopiero docent Bielecki wykazał życzliwość i odtąd sprawy poszły szybko do przodu.

**J**OANNA Szymańska jest absolwentką pedagogiki. Podczas studiów miała zajęcia z psychologii i wie, czym jest hipnoza oraz stany hipnotyczne. Na pewno — nie jakąś czarną magią. Zdzisław Jabłonowski wielokrotnie wprowadzał ją w trans i stwierdził wyjątkową podatność pani Joanny na oddziaływanie hipnozy. Oglądam właśnie próbkę pisma pani pedagog. Tekst jest jeden i ten sam: „Ala ma kota”. Jednak już nawet pobieżna obserwacja wykazuje,

Dokończenie na str. 8

## relacje ZE SWIATA

○ Z wielką fetą obchodzone we Francji dwósetlecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

○ W Paryżu po raz piętnasty spotkali się przedstawiciele „grubej siódemki”, najwyższych rozwiniętych państw świata.

○ Z oficjalną wizytą na Węgrzech przebywał prezydent USA George Bush. Ogłosił siedmiopunktowy plan pomocy gospodarczej dla tego kraju. Pomoc finansowa ma sięgnąć 25 mln dolarów. Polacy otrzymali 115 mln dolarów.

○ Na Syberii trwa strajk górników węgla kamiennego. Strajkujący wysunęli postulaty polityczne i ekonomiczne oraz zażądali przybycia przedstawicieli najwyższych władz. Ocenia się, że jest to największy strajk od czasu objęcia władzy przez Michaiła Gorbaczowa.

○ Największa od 10 lat fala strajków ogarnęła Wielką Brytanię. Strajkowali maszyniści kolejowi, dokerzy, pracownicy londyńskiego metra, urzędnicy.

○ Minister spraw zagranicznych RFN, Hans Dietrich Genscher przebywał z wizytą w Pradze. Rozmawiał z przedstawicielami rządu i opozycji.

○ Polemizując z „prowokacyjną petycją” domagającą się prawa do wolności zgromadzeń („Kilka zdań”), dziennik komunistyczny „Rude Prawo” pisze: „[...] w CSRS przestrzegane są prawa każdego, równego wobec konstytucji obywatela, prawa do porządku, spokoju i bezpieczeństwa”.

Prawo do zgromadzeń reguluje w Czechosłowacji ustawa z 1951 roku.

○ „Związek Radziecki podjęcie w najbliższym czasie istotne decyzje związane z ewentualnym utworzeniem nowej republiki nadwołżańskiej, gdzie będą zamieszkiwali radzieccy Niemcy” — oświadczył na konferencji prasowej w Bonn Horst Waffenschmidt, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RFN, po powrocie z ZSRR.

Republika Niemców nadwołżańskich, jako autonomiczna jednostka Federacji Rosyjskiej, została utworzona w 1924 roku, a zlikwidowana po agresji niemieckiej na ZSRR.

○ Na pograniczu Tadżykistanu i Kirgizji doszło do starć etnicznych na tle użytkowania gruntów i dostępu do wody. Demonstracje i rozruchy wybuchły też na nowo w Nagorno-Karabachii oraz w Suchumi — między Gru-

zinami i Abchazami. Są zabici i ranni. Wprowadzono godzinę milicyjną.

○ Związek Radziecki wystawił na przetarg 17 łodzi podwodnych i 1 krążownik.

○ Zakończyły się polsko-zachodniemieckie rokowania w sprawie restrukturyzacji polskiego długu. W ich wyniku nastąpi przesunięcie spłat 7 mld marek polskiego zadłużenia na lata 1993—97.

○ Zdaniem czołowego radzieckiego eksperta ekonomicznego Nikolaja Szmielowa, Związek Radziecki potrzebuje 30 mld dolarów kredytu w ciągu 2—3 lat. W przeciwnym razie grozi mu ruina.

○ A. Sizow pisze w „Socjalistycznej Indusrii”: „Ostatnio co czwarty kilogram masła i tłuszczów roślinnych, co trzecia bułka i paczka cukru, co drugi kilogram makaronu kupowane są przez ZSRR za granicą, bądź produkowane z importowanego surowca”.

○ Papież Jan Paweł II zaapelował do Fidela Castro o uwolnienie gen. Cchoa i trzech innych oficerów kubańskich, skazanych na śmierć za udział w przemyśle narkotyków. Wyrok został wykonany. Minister obrony Kuby, Raul Castro powiedział, że „akt łaski w stosunku do skazanych na karę śmierci stanowiłby błąd o niewyobrażalnych konsekwencjach”.

○ Pod Czelabińskiem na Uralu odkryto w starzych szybach kopalnianych masowe groby ofiar stalinowskich.

○ Władze irańskie zalegalizowały 7 partii politycznych ostrzegając zarazem, że ugrupowania funkcjonujące bez zgody rządu nie będą dłużej tolerowane.

○ Organizacja islamska określająca się jako „pokolenie gniewu arabskiego” przyznała się do dwóch zamachów bombowych w Mekce, w wyniku których zginęła jedna osoba a 16 zostało rannych.

○ Tajemnicza ekstremistyczna organizacja żydowska „Miecz Gedecna” rozpowszechnia od kilku dni ulotki zapowiadające „śmiertelny cios dla Arabów i lewicy izraelskiej”.

○ Bułgarska służba graniczna zastrzeliła dwóch Turków, którzy przekraczali nielegalnie granicę, chcąc uniknąć mobilizacji.

○ Rada Państwa Bułgarii wydała dekret o „mobiliacji cywilnej czasu pokoju”.

○ Związek Polaków na Litwie uzyskał zgodę na wydawanie własnego pisma w języku polskim.

○ Władze litewskie zdecydowanie sprzeciwiły się tworzeniu, w niektórych rejonach Litwy, polskich terenów autonomicznych.

○ Na Węgrzech powstał niezależny związek zawodowy milicjantów.

○ Sad Najwyższy USA zatwierdził prawo rządów stanowych do wyrażania zgody lub odmowy na dokonywanie zabiegów usuwania ciąży.

○ Zmarł, w wieku 81 lat, światowej sławy dyrygent Herbert von Karajan.

## relacje Z KRAJU

○ Wojciech Jaruzelski przedstawił szefom siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw świata sześciopunktowy program pomocy gospodarczej dla Polski.

○ W wystąpieniu w parlamencie, w czasie swojego pobytu w Polsce, prezydent Bush ogłosił swój sześciopunktowy plan pomocy gospodarczej dla PRL.

○ Lech Wałęsa stwierdził, że ze względu na wewnętrzną i międzynarodową sytuację Polski, prezydentem może być tylko osoba z koalicji rządzącej. W wywiadzie udzielonym Marylin Greene z „US Today”, na pytanie o zainteresowanie prezydenturą, odpowiedział: „Nie, nie, nie chcę zostać kucharzem tylko dlatego, że lubisz jeść?”.

○ Przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego prof. Bronisław Geremek zapowiedział skierowanie do prezesa Rady Ministrów posełkiej interpelacji w sprawie zaostrzonego wyroku śmierci wydanego w 1983 roku

na Zdzisława Najdera, byłego szefa Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa.

○ Wiceminister spraw wewnętrznych gen. Z. Pudysz został wzięty w krzyżowy ogień pytań posłów opozycyjnych, w związku z brutalnym potraktowaniem przez milicję członków KPN pikietujących gmach Sejmu. „Taki jest społeczeństwo, jaka jest milicja czy odwrotnie?” — skonstatował gen. Pudysz. I uznał demonstrację za nielegalną, gdyż KPN jest ciągle niezarejestrowana. „A czy PZPR się rejestrowała? Przecież funkcjonuje. Dlaczego więc KPN nie może funkcjonować?” — pytał poseł Janusz Rożek.

○ Trwa konflikt placowy w służbie zdrowia. W Szpitalu Onkologicznym w Poznaniu grupa pracowników podjęła głodówkę. Protesty podjęto również w innych rejonach kraju. Z reprezentacją strajkujących spotkali się przedstawiciele władz z ministrami Józefem Oleksym i Izabellą Planetą-Malecką.

○ Średnia płaca w służbie zdrowia wynosi 75 tysięcy złotych.

○ Ryszard Kurylec, I sekretarz KW PZPR w Słupsku, w wywiadzie dla „Życia Warszawy”: „Żadna partia nie może istnieć bez programu. A my jako PZPR — trzeba to uczciwie powiedzieć — nie mamy programu [...] To o czym mówimy to «bleblanie» a nie program”.

○ Przewodniczący OPZZ Alfred Miodowicz otrzymał — na własny wniosek — votum zaufania od Rady OPZZ.

○ Prymas Polski kardynał Józef Glemp wyjechał z oficjalną wizytą do Francji.

○ Radziecki samolot wojskowy zderzył się w rejonie Lublina z szybowcem. Pilot szybowca poniósł śmierć.

○ „Życie Warszawy” opublikowało tajne protokoły paktów Ribbentrop — Molotow. Punkt 2. protokołu dodatkowego z 23 sierpnia głosi: „W wypadku terytorialno-politycznych przekształceń na obszarach należących do państwa polskiego, podział stref interesów między Niemcami a ZSRR przebiegać będzie między więcej wzdłuż linii rzek Narwa, Wisła i San”.

○ Prymas Polski kardynał Józef Glemp spotkał się z rabinem Polski

Pinhasen Menahemem Joskowiczem. Mówiono o udziale społeczności żydowskiej w obchodach religijnych 50-lecia Września.

○ Grupa siedmiu Żydów wtargnęła do klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu, protestując przeciwko lokalizacji tego obiektu na terenie byłego obozu zagłady. Klasztor został oplakatowany. Żydzi demonstrowali również w Krakowie, domagając się ustąpienia kardynała Macharskiego.

○ Stefan Kisielewski zapytany w wywiadzie dla „Ładu” o wielkoprzemyślową klasę robotniczą: „Póki istnieje partia, to ona musi się martwić. Przecież z samej nazwy wynika, że jest to partia robotnicza. Ja się martwię tylko tym, że Wałęsa tworzy drugą partię robotniczą i trwa w tym e-tosie proletariacko-socjalistycznym”.

○ Karol Modzelewski na pytanie „Tygodnika Kulturalnego”: „— A KPN? — KPN prowadzi zręczną politykę i potrafiła wyjść poza okrzykniętą etykietkę ekstremizmu. Proszę zwrócić uwagę na jej pozytywny stosunek do wyborów! Spośród opozycyjnych partii politycznych ona jedna ma sporą bazę członkowską, struktury, no i tradycję [...]”.

## relacje Z REGIONU

○ Zmarła Maria Kuncewiczowa, wybitna polska pisarka.

○ W Lublinie odbyło się spotkanie grupy inicjatywnej Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Stalini-

mu i Bierutowszczyzny.

○ W województwie lubelskim oddano 39,6 proc. zaplanowanych na ten rok mieszkań.

○ Do Sądu Rejonowego w Lublinie wpłynął akt okarzenia przeciwko 5 osobom zamieszanym w sprawie sfałszowanego świadectwa naturalnego w I LO im. Staszica w Lublinie.

○ W Lublinie działa Wolna Spółka Wydawnicza. Wydała do tej pory m.in. „Polskie państwo podziemne” S. Korbońskiego, „Stopnie” J. Kosiniego, „Wojnę w eterze” J. Nowaka-Jeziorańskiego.

○ Do Lublina sprowadzono, ufundowany przez chrześcijan i Żydów, 5-tonowy dzwon przeznaczony dla mającej powstać Świątyni Pokoju na Majdanku.

○ Minister do spraw współpracy ze związkami zawodowymi Józef Oleksy odwiedził Radzyń.

○ Trwają Lubelskie Spotkania Folklorystyczne. Uczestniczą regionalne i zagraniczne zespoły ludowe.

## TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

**ZBIERAJĄC** materiały do kolejnej sondy na Telewizyjny Hit Tygodnia, za który tym razem uznaliśmy sejmową debatę nad funkcjonowaniem Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, zetknęliśmy się bezpośrednio z pewnym socjologicznym rysem naszej zbiorowej świadomości. Ludzie zapytywani na ten temat bądź odkładali pośpiesznie słuchawkę, bądź posądzali nas o nieuczciwe intencje. Udalo nam się zgromadzić zaledwie dwie wypowiedzi, przy czym jedna, pejoratywna — na życzenie rozmówcy — ukazuje się pod inicjałami. Czyż nie jest to kolejny przyczynek do zastanowienia się nad magią mrocznej przeszłości i nikłym stopniem gotowości

Polaków do otwartego, demokratycznego myślenia?

(Red.)

**Ewa Krukowska, urzędniczka z Lublina:** — W życiu istnieją takie obiektywne prawda, proszę pana, że nie podcina się gałęzi, na której się siedzi. Debatę tę uważam za oburzającą. Nikt na świecie nie lubi sił porządkowych, ale bez nich nie ma państwa. Można mieć różne zastrzeżenia do milicji, ale u nas przyjęło się uważać, że odpowiada ona za całe zło. Dlaczego staje się zawsze w obronie demonstrantów, a czasami zwykłych chuliganów? Dlaczego nigdzie na świecie nie pokazuje się pobitych policjantów czy żołnierzy? Bo to ich praca, rudy nowy obowiązek, bo brak w tym elementów sensacji. Niedobrze jeśli Sejm mający stać na straży państwa, publicznie podważa jego podstawy. Boję się, że teraz zaczną się wspominki posłów, jak to kiedyś ten zapłać mandat, a ów został niegrzecznie zrzu-

Na pewno wiele jest w tym resorcie do zrobienia, ale debatujemy o tym w komisjach, a nie rozdmuchujemy to na cały kraj, żeby podważać i tak już podeptany autorytet przedstawicieli władzy. Jeśli każdy przypadek interwencji MO trafiać będzie do parlamentu, to panom posłom zabraknie czasu na ratowanie gospodarki i samiego bytu narodu. Zawsze opowiadam się za umiarem i obiektywizmem, tylko bowiem w umiarze i obiektywizmie leży nasza narodowa szansa. Podgrzewanie nastrojów w Sejmie, w chwili, gdy są one i tak gorące na ulicach, służyć może tylko destabilizacji, a w konsekwencji — kolejnej gorzkiej, jeśli nie tragicznej, lekcji.

**Edward W. z Puław:** — Obserwowałem tę transmisję z ogromną satysfakcją. Uważam bowiem, że sprawa praworządności to absolutna podstawa budowy demokratycznego państwa. Debatę wykazała jeszcze raz, że siły porządkowe w naszym kraju nie są przyzwyczajone do pewnych zjawisk, któ-

re uważa się za naturalne, ba — potrzebne wszędzie na świecie (wolność głoszenia opinii, poglądów, przekonań, jeśli robi się to, rzecz jasna, w sposób pokojowy) Argumenty pana wiceministra Pudysza powinny być ostrzeżeniem dla wszystkich; zlej sprawy nigdy nie da się jasno i klarownie obronić. Z milicji i SB muszą odejść ludzie, którzy wciąż tkwią w innej epoce. Potrzeba tam fachowców i profesjonalistów; osobiste niechęci i ciagoty do politycznych gierek nie leżą w kompetencji tych organów. Zawsze, kiedy zaczynamy porządkować nasze sprawy, wisi nad nami groźba prowokacji, ze strony „państwa w państwie”. Za taką uważam rozpędzenie spokojnej demonstracji KPN. Nie wiem, czy nie zadziałała tu nawet chęć zaszokowania generalowi Kiszczakowi, gdyby chciał ubiegać się o urząd prezydenta. Mam ochotę zawołać do Sejmu: Tak trzymajcie panowie! Koniec z obszarami „tajności” i „tylko dla wybranych”. Naród musi mieć prawo wglądu we wszystko, co dotyczy jego egzystencji.

**W**SOBOTE, w przeddzień przylotu George'a Busha do Warszawy o wizycie nie mówilo się prawie nic. Powstało wrażenie jakby miała rozplynać się w niedzielny mrok, jak ów epizod dla wybranych sprzed dwunastu lat — wizyta Jimmy Cartera. Zupełnie jakby nie było w tym czasie pięciu szczytów radziecko-amerykańskich, jakby przez świat nie przetoczył się powiew nowego czasu, jakby wreszcie nic nie wydarzyło się w Polsce.

Pojawily się mniej lub bardziej gorączkowe spekulacje. Wojskowy dziennik radziecki „Krasnaja Armia” napisał, że wizyta Busha jest „próbą wbici klina między kraje socjalistyczne, a ZSRR”. W Bukareszcie dobiegło końca posiedzenie Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego. Nagłym chłodem powiało na linii Bonn — Warszawa. George Bush nie-

nianych. Retoryka amerykańskich polityków jest zresztą często zadziwiająca. Czyżby znowu znajomość spraw europejskich oparta na briefingu doradców (Polska to kraj w 97 proc. katolicki). „Nie ma pan racji — usłyszę następnego ranka od korespondenta NBC Marka Dolana. — Gdziekolwiek by był, prezydent przemawia zawsze przede wszystkim do Amerykanów”.

Tuż za bramą wojskowego lotniska zebrał się spory tłum warszawiaków. Powiewały chorągiewki w barwach Polski i USA. Był nawet transparent z papierową Statuą Wolności. Wymknąłem się wcześniej z prasowej platformy. Idąc pieszo, z plastikową torbą w dłoni, stanowiącym wymarzoną cel dla ludzi z ochrony. Zatrzymywano mnie kilkakrotnie. Pracownicy BOR i mundurowi milicjanci wychodzili spomiędzy gęstych drzew. Kiedy limuzyna George'a Busha i Wojciecha Jaruzelskiego przekroczyła bramę rozległ się wielki gwar, pisk i gwizdy (w amerykańskim stylu). Ludzie krzykali: „Niech żyje Bush” i „Niech żyje Ameryka”. Ktoś niezgrabnie podjął okrzyk: „Solidarność”.

# BUSH PO POLSKU

(Korespondencja własna)

Wiesław Horabik

opatrznie stwierdził, że spodziewa się w Polsce wyjątkowo entuzjastycznego przyjęcia. W kraju trwał pat w kwestii prezydentury. PAP opublikowała wywiad z Bushem przetłumaczony w sposób najbardziej bodaj skandaliczny w całej historii polskiej prasy. A nade wszystko Bush nie przejął „z automatu” reaganowskiego entuzjazmu dla rokowań radziecko-amerykańskich. Kalkulowano więc, że wizytę „wyciszono” ze względu na wszystkie te czynniki razem, czy też na każdy z osobna. Nie wykluczano, że były i inne powody. To wszystko okazało się bez sensu, choć zwyczajowe chorągiewki na ulicznych słupach pojawiły się dopiero w niedzielne popołudnie. Amerykańska flaga jest bowiem bardzo ładna. (Po wizycie Margaret Thatcher brytyjskie „union jacki” wykradziono niemal na pniu).

**LOTNISKO.** Nad Warszawą powietrze stało nieruchome jak lepka maź. Roje komarów buszowały w gęstych światłach reflektorów. Zapachy perfum wielkiego świata trzymały się wyjątkowo intensywnie. Kompania honorowa WP pocila się w gorsecie galowych mundurów. Pociliśmy się wszyscy. Tylko personel ambasady amerykańskiej, od szefa — Johna \* Davisa Juniora (długa rozmowa z ministrem Olechowskim) po attaché prasowego, pana Hugh Harę nie ustawał w podnieceniu. „Rekiny” krajowej telewizji — rodzina Woźniaków (pan Grzegorz i pani Barbara Grad) raczyli się chłodnymi drinkami wyniesionymi z budynku dla VIP-ów. Za mieszkańców Warszawy „robili” rodziny prominentów i pracowników ambasady. Nie zabrakło tradycyjnych „krakowiaczków”.

Najpierw przyleciał Jumbo Jet z Korpusem Prasowym Białego Domu i wielu sławnymi ludźmi (głównie ze świata publikatorów). Potem samolot charterowy PAN AM. Na koniec prezydencki Air Force One. Wcześniej żołnierze Kompanii Honorowej dwukrotnie prezentowali broń. Raz na powitanie premiera Rakowskiego i Elżbiety Kępińskiej, drugi raz po przybyciu na lotnisko państwa Jaruzelskich. Obie panie Barbary (Jaruzelska i Bush) wybrały sobie jednakowy kolor swoich powitalnych kreacji — dwa odcienie turkus. Korespondent węgierskiej telewizji powiedział, mi, że prawdziwa podróż europejska Busha rozpocznie się dopiero w Budapeszcie. „Powinnicie najpierw wybrać swoje władze — argumentował. — W chwili obecnej wizyta ta może być tylko symboliczna”.

Nie miał racji.

Powitalne przemówienie prezydenta zawierało wiele akcentów bogoojczyź-

## WASZYNGTON W WARSZAWIE.

Sensacją sezonu okazał się w stolicy fakt, iż Biały Dom zakupił dla obsługi wizyty sto samochodów marki „volvo” najnowszej generacji. Ludzie przychodzili oglądać te rzędy błyszczącego metalu. Amerykanie nie korzystali z Centrum Prasowego „Interpress”. Mieli własne. W hotelu „Victoria”. Całe piąte piętro budynku zamieniono w mini-Waszyngton. Dyżurowały tu telefony, za pomocą których można było reagować za oceanem w ciągu kilku sekund. Sala balowa „C” zaroila się dziennikarzami i oficjalami. Na dziesiątkach stolików ustawiono maszyny do pisania i telefony; obok pracowały teleksy i telefaksy. Na ścianie umieszczono trzy ogromne zegary pokazujące czas waszyngtoński, GMT i polski. Wyfraczony kelner rozniósł pepsi z lodem (tyśiąc złotych za butelkę). Na wielkim ekranie śledzono, metodą kablową, każdy krok prezydenta. Sandy Gillmore z Telewizji NBC powiedział mi: „Wydaje się, że prezydent podchodzi do tej wizyty bardzo emocjonalnie. Jest pod wrażeniem choćby tego tłumy przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Jednocześnie jego wypowiedzi są niezwykle ostrożne. Pamięta o owym „klinie” i obawia się także by nie sprostować „twardogłowych”. To wszystko jest niezwykle skomplikowane, jak zawsze u was w Polsce”.

On jest takj kostyczny, chłodny, anglosaski — podsluchuje rozmowy mieszkańców Warszawy wychodzących z Placu Zwycięstwa. „Nie ma tej charyzmy, jak choćby Reagan czy Gorbaczow”. „Ale to solidny facet” — wtrąca młody mężczyzna. „Na pewno wie, czego chce i wie, co robi”.

Pierwsza próba stonowania popularności Michaiła Gorbaczowa w zachodniej Europie, poprzez pobudzenie entuzjazmu w jej części wschodniej nie jest udana. Trudno nie uznać tych okrzyków i wymachiwania chorągiewkami za ciepłe przyjęcie. Euforii jednak zabrakło. W Gdańsku będzie o wiele goręcej.

Prezydent nie podszedł do ludzi tłoczących się za metalowymi barierkami; odjeżdżając wspiął się tylko na stopień samochodu i pozdrowił tłum szerokim uniesieniem rąk. „Wonderful! Wonderful!” — wykrzykiwała obok mnie podniecona starsza Amerykanka. „Oni są zachwyceni!” — mruknął pod nosem technik brytyjskiej telewizji ITV. „Dla nich to wielki sukces. Najczęściej ich prezydenta witają bowiem protestujący, jeśli już nie palenie kukiel i deptanie sztandaru”.

Ambasador USA w Polsce John R. Davis Jr. powiedział kiedyś gazetce „USA Today”: „Polska to bodaj najbardziej proamerykański kraj na świecie”.

**SEJM.** Na galerii zabrakło miejsca dla dziennikarzy. O prasę krajową nikt zresztą nie dbał. Można było wszakże skorzystać z kablowego przekazu w „Interpressie”. Od dawna mówiło się, że w polskim parlamencie padną ważkie i znaczące słowa. Czuje się, że jak doskonale przygotowana oracja Busha wsiąka w tę salę, jak porusza słuchaczy, jak przykuwa uwagę. W CNN trwa bezpośrednia transmisja przez satelitę. O tej porze Amerykanie wstają i szykując się do

gólne posłannictwo Polski, ale co z Niemcami?”. Christopher Bobiński z „Financial Times”: „Słowa, słowa, słowa. Z owego pakietu pomocy jedynym realnym punktem jest dotacja dla prywatnego sektora. Resztę trzeba będzie jeszcze wynegocjować w Paryżu i w Kongresie. W proporcji do polskich potrzeb to kropla w morzu”. Za plecami słyszę także dyskusję o „polskich autostradach” i o tym, że Wielka Brytania będzie ostatnią w kolejce do wspierania Polaków.

Amerykanie ukierunkowani są szczególnie na image samego Busha. Większość z nich jest w Polsce po raz pierwszy, nie zna naszych realiów i nie ma nawet czasu ich poznać. W a-



Fot. J. Maciej Szymczak

pracy lubią obejrzeć program „Good Morning America”. Mogą zobaczyć swego prezydenta „at his best”. Tak gromadzi się punkty w sondażach popularności. I znowu powracają te naturalne porównania. „O, teraz przypomina Gorbaczowa. To zawieszenie głosu, ten uśmiech nad oczywistością stwierdzenia”. I wreszcie gwałtowne podniecenie, kiedy prezydent wylicza swoje sześć punktów pomocy dla Polski. To już informacyjne fakty; to pożywka dla istotnego komentarza. Zaraz zaczyna się bieg do telefaksów. Wielu dziennikarzy korzysta na miejscu z drukarek komputerowych typu lap-fit.

Owacja polskiego parlamentu na stojąco. Nancy Reagan, jeśli ogląda tę transmisję może się denerwować. „Gdyby przyjechał tu Reagan — żartuje jeden z dziennikarzy — nosiliby go na rękach”.

George Bush, wyraźnie rozluźniony, może pojechać na lunch. Ma jeszcze tego dnia spotkanie z premierem Rakowskim i uroczysty obiad. Ma także dwie godziny „dla siebie”. „Nie wiemy jak zechce je wykorzystać — mówi mi jeden z pracowników MSZ — Musimy być przygotowani na wszystko. Nawet na grób Popieluszki”. Prezydent wybrał baseball i jogging. Oficer przed rezydencją na Parkowej (Wilanów w remoncie) salutował szablą Busha ubranego w krótkie sportowe szorty.

**GDĄSK.** W samolocie do Gdańska najbardziej krytyczne, wręcz sarkastyczne opinie pochodzą od Brytyjczyków. Martin Walker z „The Guardian”: „Bush nie posiada żadnej klarownej koncepcji owej zjednoczonej Europy, o której tak wiele tu mówi. On chyba naprawdę wierzy w szcze-

amerykańskim Centrum Prasowym napotykał i taki komentarz, gotowy do przekazania za ocean: „Człowiek uważany za ministra spraw zagranicznych uśmiechnął się szeroko i powiedział, że to pierwszy krok we właściwym kierunku” (Karen Hosler — „Baltimore Sun”). Jedynie Chris Ward z ABC powie mi: „Ta wizyta przyczyni się w znacznym stopniu do zmiany stereotypu Polaka, jaki panuje na Zachodzie. Nie ukrywam, że w wielu punktach jest on wyjątkowo niekorzystny. Mówi się, że Polacy nie wykazują energii, by chcieć polepszyć własny los, że są materialnie rozrzutni, że brak im wytrwałości. To, co Amerykanie słyszą o Polsce od swego prezydenta w znacznym stopniu podważa te mity. George Bush rzadko robi coś spontanicznie, ale nie wątpię, że wszystkie te komplety pod adresem waszego narodu są absolutnie szczerze. Obecny ruch przemian, a zwłaszcza ruch „Solidarność” widzi on jako coś inspirującego dla świata, nowego jakościowo, sięgającego do fundamentalnych wartości, które z lepszym lub gorszym skutkiem nadal stanowią amerykański kodeks uczciwości”.

Przy płycie lotniska Rebiechowo wygrzewają się w słońcu ZOMO-wcy.

Po wyludnionej Warszawie, urlopowo-kolonijny Gdańsk wypełniony jest ruchem. Chłodniej tu i szybko zbierają się ciemne chmury. W hotelu „Heweliusz” trwają przygotowania do lunchu na cześć ministra Olechowskiego i sekretarza stanu Bakera. Za metalowym płotkiem gromadzi się tłum. Ludzie liczą, że uda im się zobaczyć

Dokończenie na str. 14

## „Gdy ktoś namolnie domaga się wody, to od razu stają mi przed oczami tamci”

**W** PONIATOWEJ — małym miasteczku, leżącym pomiędzy Opolem a Lublinem, nikt już nie ogląda swojej twarzy odbitej w lustrze wody. Rzadko kto wychyla się przez poręcz. Z tutejszych stawów wionie śmiercią.

— Nie patrzę już w dół, w wodę, tak jak kiedyś. Boję się, że zobaczę kolejnego trupa — mówi młoda kobieta napotkana na kładce, obok kamiennego tarasu. Uśmiecha się jeszcze i, jakby dodając sobie odwagi, rusza dalej, za swoimi sprawami.

Po raz pierwszy wstrząsnęło miastem 13 marca, w poniedziałek. Między dwoma stawami, a raczej bajorami potężnych rozmiarów, koło grobli znaleziono pierwszego topielca. W tym miejscu, pod lasem, woda jak w sadzawce, prawie stojąca, dokładnie pokryta zielonym kożuchem glonów i przybrzeżnymi trzinami. Tu nawet w południe żaby dają takie koncerty, jak na największych bagnach i mokradłach. Nie ma mowy o kąpielach, najwyżej można pomoczyć kij. Do przystanku PKS — serca miasta jest stąd niewiele ponad 100 metrów.

Kiedy przyjechała milicja i prokurator rejonowy z Opola Lubelskiego, wiadomo już było, że ten topielec to dwudziestoletni mężczyzna, syn miejscowego piekarskiego. Ludzie prowadzili śledztwo po swojemu. Gadali, że ktoś musiał mu „pomóc”. Natomiast sekcja zwłok wykazała, że we krwi ofiary znajdowało się 2,7 promila alkoholu. Oględziny — że nie było wewnętrznych, ani zewnętrznych obrażeń ciała. Utopił się w wodce, a potem w wodzie. Śledztwo umorzono. Ale ponad 10-tysięczne miasto wciąż huczało; wielka ciekawość dręczyła jego mieszkańców. Aż ucichło.

W czwartek, 6 kwietnia ponownie zawrzało w mieście i okolicach. Tym razem ze zdwojoną siłą.

Tego wieczora kończył się właśnie dancier w restauracji „Pod Kogutem”, najbardziej eleganckim lokalu w mieście, a w rzeczywistości — zwykłej „mordowni”, jakich setki w kraju. Na kilku cementowych schodkach przed wejściem do „Koguta” rozegrał się dramat. Tym razem nie było już wątpliwości, że to nie matka natura tak srogo mści się na ludziach. W ruch poszły noże, pięści i nogi ubrane w ciężkie buciany. Spośród kilku osób biorących udział w tej nocnej szarpaninie do szpitala MSW w Lublinie zawieziono byłego komendanta posterunku MO w Poniatowej. W czasie awantury wychodził on właśnie z lokalu po zakończonej zabawie. Ludzie mówią, że ujawniły się stare porachunki, jakieś zaszłości z czasów pracy byłego komendanta w MO... Emerytowany funkcjonariusz przeżył w szpitalu jeszcze dwa tygodnie. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Milicja nabrała wody w usta. Ludzie ostatnio też niechętnie mówią o tych zdarzeniach, są nieufni wobec bhych. Na ulicy ostrożnie omijają zataczających się, podchmielonych osobników. A już nie daj Boże zadziierać z takim! Skończyły się także dalekie spacerunki w niedzielne wieczory.

Mało kto zagląda o tej porze w okolicę lasów i nieco odległych stawów rybnych, rozpościerających się za miastem. Chyba, że w większym gronie.

W mieście krążą pogłoski, że z Lublina przyjechali milicjanci w cywilu; chodzą w patrolach, wypytują ludzi, sprawdzają, a nawet rewidują. Komendant WUSW z Lublina miał ponoć ulokować w Poniatowej specjalny oddział ZOMO, ale nie przy posterunku, tylko gdzieś „na mieście”. Ludzie jeszcze mają pretensje, że co to za posterunek, w którym milicjanci pracują jak urzędnicy, do piętnastej, a tylko czasem trochę dłużej. Przecież największa granda dzieje się po nocach, a wtedy milicja akurat śpi w swoich domach.

Ci co przyjechali, będą mieli ręce pełne roboty. Wszyscy wiedzą przecież, że w Poniatowej działa banda. Niech się zajmą tymi bandziorami przesia-

nym zakładem w okolicy, zatrudnia ponad 4 tysiące pracowników. Ci ludzie codziennie są w naszym mieście. A ilu przyjeżdża, żeby się zabawić, wypić, czy zwyczajnie porozrabiać? — retorycznie zapytuje jeden z moich rozmówców.

Ludzie czuli, że znów coś się zdarzy, że to jeszcze nie koniec nieszczęść. Z obawą patrzyli, czy milicyjna nyska nie pędzi ulicą po kolejnego trupa. Przez dwa miesiące i trzynaście dni od ostatniego zdarzenia pod restauracją żyli w strachu i nerwowym oczekiwaniu. Uwierzyli w fatum. Rankiem, 17 czerwca znów znaleziono topielca. Tego dnia, pod blok, stojący jakieś dwadzieścia metrów od kąpieliska, ściągnęły tłumy gapiów.

— Znowu zabili chłopca! — wymamrotał starszy mężczyzna trzymający się za głowę. Stał z boku, przygląda-

ulicy — co nowego w śledztwie, kogo pobiło, a kogo okradziono i potem przynosili to do domów, dzieliły się wiadomościami z mężami. Ostrzegaly ich, gdy wychodzili na ulicę, upominały dzieci, sprawdzały po kilka razy, czy mieszkanie jest dobrze zamknięte.

W mieście mówili, że milicja ma dwóch z tych, którzy pobili starego komendanta, że rada narodowa na spotkaniu z zastępcą szefa RUSW domagała się, aby w Poniatowej powstał normalny komisariat z całodobowymi dyżurami.

Tak minął jeden dzień, drugi i trzeci, a następnego dnia znaleźli trupa. Czwartego. To miejsce pokazuje mi teraz palcem starszy, siwawy mężczyzna.

— Panie, ten ostatni trup był znaleziony o tam, za tą metalową siatką — relacjonuje wydarzenie. — Był tam kiedyś obóz harcerski.

## PIĄTY TRUP W PONIATOWEJ

Marek Podgajny

dającym przy kielichu, bo inaczej tylko patrzeć kolejnych trupów. Dwa już były. Ludzie boją się, że będzie ich więcej.

Poniatowa jest niewielka, ale za to dobrze wyposażona gastronomicznie. Restauracja „Pod Kogutem” mieści trzy sale (restauracyjną, kawiarnianą i barową), w których po 13-tej serwuje się alkohol. Dyskoteka „Klubowa”, prócz działalności rozrywkowej, prowadzi także regularny wyszynk. Wyliczałmy dalej: kawiarnia „Słoneczna”, bar „Wczasowy”, w którym także płynie rzeka wódki. Jest jeszcze jeden sklep monopolowy, regularnie okupowany od południa przez grupę wiernych klientów, a na okraję jeszcze kilka punktów sprzedaży piwa. Gdyby w tych miejscach jednocześnie wybuchły bijatyki, to milicjanci nie byłiby nawet w stanie interweniować, bo jest ich na posterunku zaledwie ośmiu. A i to nie zawsze są ponoć „w formie” — jak mawiają miejscowi.

„Forma” miejscowych, również pozostawia wiele do życzenia. Statystyki mówią, że Poniatowa jest na jednym z czołowych miejsc, jeśli chodzi o wskaźnik rozwodów. Pozytywnie małżeńskie najwyraźniej tutaj się nie układa. W spożyciu alkoholu także nie pozostaje w tyle. Do niedawna jeszcze miejscowe władze miały niemałe kłopoty z ruchem satanistów; kulturowym przez najmłodszych obywateli miasta. Zdarzają się także pojedyncze przypadki narkomanii.

— Poniatowa jest miastem zorganizowanym na wzór wielkomiejski. Tu nie ma rynku, wokół którego skupiałoby się całe życie towarzyskie i sąsiedzkie. Są za to „miejskie” bloki, jest park, dużo wolnej przestrzeni, lasy. Sama EDA, która nie jest jedy-

jąc się oględzinom i innej, milicyjnej robocie.

— A skąd wiecie, do cholery, że zabili?! Widzieliście? — wybuchł komendant, bo już dość miał płótek krążących po mieście.

— Widzieć, nie widziałem... — chłopca choć i tak mocno przestraszony, to jednak nie zapomniał języka w gębę. — Ale pierwszy, co się utopił przy grobli, miał wodę w płucach. Widać było, że się jej porządnie opił. A temu nic wody nie wyciekło! Jak mógł się utopić?

Milicjantowi opadły ręce. Nie miał już siły wyklócać się o swoje racje, zresztą dla dobra śledztwa... Tymczasem na piasku u jego stóp leżał zakryty 29-letni mieszkaniec sąsiedniej gminy Chodel. Poprzedniego dnia oblał w bratem koniec roboty. Brat wyznał władzy, że wypili tylko po „małpcę”. Co było potem, nie bardzo pamiętał. Nie pamięta też, czy brat mówił coś o kąpielach.

— Był ponoć pijany. O tu, ze sto metrów od tamtego go znaleźli. Na czwartej boi wisiał. Rano chłopcy zobaczyli ubranie złożone w kostkę na brzegu. Dziwili się komu to chciało się rozbiierać, kiedy ranki jeszcze chłodne. Aż zobaczyli topielca... — opowiada starszy mężczyzna.

Ludowa mądrość mówi, że dopiero po świętym Janie woda jest poświęcona, i że dopiero wtedy wolno do niej wchodzić. Inaczej topielca zabiera. Kurcz mięśnie chwyci i człowiek sam nie da rady. Widać tak mu było pisane.

W poniatowskich mieszkaniach i sklepach oraz w całej okolicy po raz kolejny zawrzało. Ktoś powiedział, że ma przyjechać telewizja i zrobić program dla „997”. Kobiety nie mogły zasnąć wieczorem, a rankiem budziły się z łękiem w sercu. Przez ten czas nasłuchiwały się w sklepie, w pracy i na

czy biwak, ale teraz zostały tylko doły, kupa żalstwa i wyrosnięte krzaki. Istny busz, panie. A jak on wyglądał? Pewnie, że nie jak normalny nieboszczyk. Cały siny, w podartym ubraniu... Gółym okiem wydać było, że ktoś go musiał obić. Milicja mówiła, że od wódki tak posiniał. Może i był pijany... Ale sto tysięcy pożyczki, co ją wziął tego dnia z EDY, wódka przecież nie zabrała... — mężczyzna filuternie mruży oczy, co ma oznaczać, że on już swoje wie.

Milicja tradycyjnie milczy. Śledztwo trwa, więc pozostają tylko domysły.

Ulicą obok znów przejechała nyska z miejscowego posterunku. Aż dziw, że ten jedyny radiowóz poniatowskiej milicji trzyma się jeszcze kupy — pomyślałem.

W pobliskim lokalu przy małej czarnej zaczęli kelnerkę i od niechęcia zagadują o te cztery trupy w mieście.

— Proszę pana, niech pan lepiej nie pyta — mówi, przygnębiona. — Teraz, gdy widzę pijaka, albo gdy ktoś zbyt namolnie domaga się wody, a już ma w czubie — to od razu stają mi przed oczami tamci... I myślę sobie, że znalazł się kolejny kandydat na tamten świat.

Sprawdziło się złe przecucie kelnerki. 27 czerwca po południu, na kładce schodowej jednego z domów, o paru kroków od posterunku MO zginął następny mężczyzna. Piąty. Dostał nożem dokładnie w samo serce. Sprawca uciekł i, zanim schwytano go milicja, zdążył zapanic na przystanku PKS jeszcze jedną osobę. Na szczęście niegroźnie. Następnego dnia rozszła się wieść, że komendant posterunku w Poniatowej złożył rezygnację z pełnienia swej funkcji. Sprawdziłem. To tylko plotka.

## LISTY-POLEMIKI

### „BEZROZUMNA SIŁA ZDEMORALIZOWANYCH MAS”

W odpowiedzi na artykuł Adama Kalbarczyka („Relacje” nr 22) w sprawie projektu ustawy zakazującej przerywania ciąży, pragnę dodać głos. Oto przykłady z życia wzięte:

1. Ogólnie lubiana i szanowana matka trojga dzieci, wracając z pracy z drugiej zmiany (wczesna jesień, ciemno), zostaje napadnięta przez osobnika fizycznie i psychicznie chorego. Bandyta ten gwałci ją, potem bije i kopie do utraty przytomności. Rany leczą kilka tygodni i w tym czasie spostrzega, że jest w ciąży. Kobieta jeszcze całkowicie nie jest wyprowadzona z pierwszego szoku, a wpada w drugi. Według pana zdania mężczyzna jest w porządku, etyczne i

nie wolno usunąć tej ciąży pod karą więzienia. Ma obowiązek urodzić dzieckiem, psychicznie i fizycznie chorego osobnika, wprowadzić go do swojej rodziny, ponosząc dalsze konsekwencje z tym związane. To jest pańskie zdanie i pańskie pragnienie, które nie jest do przyjęcia przez żadną kobietę. Dokonana na tej kobiecie zbrodnia fizyczna i psychiczna nie może zmuszać do chowania owoców tej zbrodni. A jeżeli taka ustawa weeszłaby w życie, będzie to ustawa zbrodniacza.

2. Młode małżeństwo rolnicze, zamieszkałe z dala od miasta, najbliższy ośrodek zdrowia 7 km. Po urodzeniu pierwszego dziecka, kobieta zapada na chorobę. Leczenie prowadzone przez ośrodek zdrowia nie daje rezultatów. Dostaje skierowanie do szpitala klinicznego, ale, jak to na wsi, z braku czasu nie zgłasza się do szpitala. Pewnego razu rodzinę odwiedził po koleżdzie ksiądz, który po dowiedzeniu się o chorobie doradził temu mał-

żeństwu, że jedynym ratunkiem jest następne macierzyństwo, co zlikwiduje chorobę całkowicie. Zapewnił, że lekarz myli się, mówiąc o szkodliwości ciąży w tym stanie zdrowia. Należy oddać się modlitwie i wszystko będzie w porządku. Przenaczyli kilka tysięcy zł na usługi modlitwne i kobieta postanowiła zająć w ciążę. W kilka tygodni po zajściu w ciążę, kobieta straciła przytomność i wyłożona w szpitalu. Po dokładnych badaniach orzeczono konieczność usunięcia ciąży. W innym przypadku kobiecie i dziecku groziła śmierć. Po narodzie z mężem ciążę usunięto i po dłuższym leczeniu obecnie kobieta jest zdrowa i może rodzić zdrowe dzieci. Co byłoby gdyby obowiązywała ustawa? Zgon matki i przyszłego dziecka. Czy to nie bandycka ustawa, która z góry skazuje na śmierć niewinną osobę?

Podobnych przykładów z życia wziętych można przytoczyć wiele, ale — z uwagi na jasność sprawy — byłoby to zbyt długie. A jakie pan, panie Kal-

barczyk ma argumenty za tą ustawą? Żadne!

Dziwię się, że rząd (Sejm) przyjął do rozpatrzenia projekt takiej ustawy. Ktoś powie, że to demokracja. A jeśli tak, to może związek religijny „Świadków Jehowy” złożyć również projekt następnej ustawy „O zakazie transfuzji krwi”? W ustawie tej również należałoby zagrozić karą więzienia pacjentowi i personelowi dokonującemu transfuzji. Jak demokracja to demokracja. Czy jedna religia jest gorsza od drugiej?

Zadna kobieta nie podejmuje pochopnie decyzji o przerwaniu ciąży. Decyzja taka jest głęboko przemyślana, konsultowana z fachową służbą medyczną, nie mówiąc o rodzinie i przyjaciółkach. Jeżeli podejmuje taką decyzję to znaczy, że są ku temu poważne powody. Ostateczną decyzję o usunięciu ciąży powinna i może podjąć tylko zainteresowana kobieta i nikt więcej bez względu czy nosi frak, togi czy sutannę.

MAK

# Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

## DZIEŃ III

Wstajemy po 6.00, leje. Próbuje się jechać, ale szybko uciekamy do budki PKS. Kiedy deszcz przejdzie w mżawkę, ruszymy. Droga do obozu w Sobiborze, w którym Niemcy w dwa lata wynordowali 250 tysięcy ludzi, błotnista, pełna wybojów. Brak nam odwagi. Wleczemy się ku Włodawie asfaltem.

Barokowy, poaugustiański kościół w Orchówku projektu Pawła Fontany w remoncie: robotnicy kończą zdzierać stary tynk, kopuły dwurzęd na ziemi czekają z ponumerowanymi deskami na demontaż i ponowną instalację już na górze. Historia tej małej, nadbużańskiej wioski (dawniej miasteczka), jest dobrym przykładem przejść ludzi zamieszkałych na tych ziemiach. Przeżyli wszystko co było możliwe — od złupienia przez wojska szwedzkie, moskiewskie, kozackie poprzez likwidację zakonu augustianów 1864 roku, przymusowe nawracanie na prawosławie (mieszkańcy wysłali własne poselstwo do papieża Piusa X w tej sprawie), zamianę kościoła na cerkiew, tajne msze po domach i przesładowanie unitów, aż po zniszczenie w 1915 roku i obóz koncentracyjny w pobliskim Sobiborze. Bug też nie szczędził: cerkiew unicką rozebrano, ponieważ w czasie wylewów woda podchodziła do głównego ołtarza, w 1881 r. zabudowania klasztorne runęły podmyte, kościół uratowano, przekopując nowe koryto. Chce się żyć, widząc taką wolę trwania.

W kiosku naprzeciwko kupujemy dwa chleby i kilogram czegoś, czego oficjalnej nazwy nie pamiętam, ale co było czymś pośrednim między kitem a zakalcem opakowanym w folię, o średnicy większej od najgrubszej kiełbasy. Bez śniadania rzucamy się na sklepy, szukając gumowców; w parotysięczonej Włodawie można je dostać tylko w trzech miejscach. W trzecim są. Zielone. Terlecki porwa się pierwszy. Para „piątek” za mała, sklepowa z magazynu przynosi „siódmki”, obie



Antoni, bierzmowanie Franciszek.

Na lewą nogę. Poszukiwania choćby jednego buta na prawą speszają na niczym. Ale jest jeden o numerze 6,5, różnica w długości prawie niewidoczna; Marek nie myśli ich nawet z nóg zdejmować. Na mnie „piątki” też za małe. Ekspedientka przynosi drugą parę, prawy jakby większy, też nie zdejmuję. Próbuje lewej „siódmki”, różnica w długości widoczna z dziesięciu metrów, nie ma co się wyglupiać — biorę przykrótką „piątkę”. Sprawiamy sobie po parze czarnych getrów i... to się nazywa komfort suchych nóg! Na śniadanie — do „Piastowskiej”

Zwiedzanie rozpoczynamy od rynku, na którym zachował się — rzadko dziś spotykany — kamienny czworobok jatek i kramów z XVIII stulecia. Jaka szkoda, że podobne wyburzono w Tomaszowie Lub. — powiatowym władzom bardziej smakowało wielkomiejskie rondo na ich miejscu. Ze bez wyrazu? Urzędasów, oglupiałych tempem wnoszenia kolejnych Polsk, nikt nie ma czasu pytać o walory estetyczne...

Barokowy kościół popauliński z kompletnym wyposażeniem rokokowym dużej klasy, nieodparcie kojarzy się z kościołem popijarskim w Chelmie i św. Anny w Lubartowie (obydwa z równie wspaniałym rokokiem), czuje się rękę tego samego mistrza. Osiemnastowieczna synagoga, obecnie muzeum, starannie odrestaurowana, na wschodniej ścianie skrzy się kolorami i złoceniami aron hakodesz, w którym obfitość barokowa dziwnie łączy się ze zgrzebną ludowością (postacie grajków). Wrażenie tym większe, że obszerna hala główna z czterema kolumnami jaśnieje nieskazana najdrobniejszym nawet malowidłem. Jak zaskakująco potrafią przenikać się style: do renesansowych, barokowych czy klasycystycznych brył bożnic jestem przyzwyczajony, natomiast barokowy, przyciękawy przepych głównego ołtarza jakby przeczył moim wyobrażeniom na temat judaizmu. To niespodzianka, którą z ciepłem przyjmuję, podobnie jak finezyjne rozstrzelania rokokowych ikonostasów w malutkich, drewnianych cerkiewkach Łemków, rozsianych wokół Muszyny. Mozaikowość, wielowarstwowość kultury, w której żyję, odpowiada całemu mojemu jestestwu. Jaka szkoda, że nie zawsze potrafimy należycie chronić nawet te resztki, które pozostały.

W sali modlitwy dla mężczyzn wystawa sprzętu rybackiego: łódki, osiczenie, wierzcie, sieci, kosze-pułapki, itd. itd. — jesteśmy przecież na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim. Natomiast w południowym pomieszczeniu dla kobiet — ściśnione przedmioty kultury wyeksponowano z całą pieczołowitością muzealnika (napisy, informacje): kawa na lawę. Jesteśmy w mieście od wieków zasiedzianym przez Żydów, w ich domu modlitwy, można więc z niego zrobić typowe muzeum-gracjarnię, dlaczego nie. Można też zaaranżować przynajmniej najbardziej reprezentacyjne wnętrza, tak, jakby modlący się przed chwilą je opuścili. Pomysł z łódkami niezbyt szczęśliwy.

Próbujemy dostać się do cerkwi, córka popa tłumaczy (czysty, rosyjski akcent, przedniojęzykowożebowe „j”), że ojca nie ma w domu. Poza nim nikt nie ma kluczy. Próba zapewnienia sobie noclegu w Jablecznej, dokąd wybieramy się na prawosławny odpust, spaliła na panewce. Pozostaje liczyć na dobrych ludzi.

Jechać, czy przeczekać deszcz w schronisku młodzieżowym? Do Różanki, gdzie znajdują się pozostałości świetnego niegdyś pałacu Zamojskich — dziewięć kilometrów. Marek owija się w foliowy obrus, którym został obdarowany w Zberezu, ja mam wysłużony w Tatrach płaszcz z grubej folii, który ciągnie na szlak. Próbuje- my zagłuszyć mżawkę rozmową, ale po paru kilometrach mamy dosyć. Ile razy widziałem pedałującego w deszczu turystę, nie posiadałem się ze zdumienia — jest tyle mądrzejszych zajęć! Teraz robię to samo. Mój towarzysz niepewny, czy aby nie zechce się wycofać, sypie kawalami. Mało mnie to obchodzi.

JEST Różanka. Długi budynek z zespołu pałacowego stanowi jednocześnie bramę — kordegarda. Obok niego, po prawej, przy słupach wyznaczających wjazd bezpośrednio do rezydencji, wałczy się pawilon. Na wyniosłym urwisku ani śladu murów. stoi natomiast pomnik — produkt ostatnich lat. Zjeżdżamy ze skarpy w dół, gdzie rzeka przewała brudne, wezbra-

ne wody. Na przeciwnym brzegu nieśmiertelne wierzyby tonące w chaszczach, przesłaniające horyzont, jakby świat kończył się tu, a dalej już pustka... Nie wiem, co Rosjanie mają do ukrycia, pewnie coś cholernie ważnego. Miejsce wyjątkowo urokliwe, dzięki, przypominające skarpę w puławskim parku, tylko tamto posiadała cywilizacja, to na powrót natura. No i nie ma tam tej rzeki... Szukamy tarasów, po których park schodził do Bugu, na pierwszy rzut oka niewidoczne, szczelnie pokryte krzewami i zielskiem: dwa stopnie usypane sztycz-

byszczący! A leciał z kościoła jakby go diabeł z dzwonkiem na ognie go nił.

Przekopujemy się przez mokrą trawę sięgającą bioder do zawaliska. Błyskają piszczele drągów spod przegnanej strzechy, na kupie gnoju w sieni — „cielaczek”, wewnątrz dwa łóżka, jedno przy okopconej ścianie, drugie na środku izby, z wylamanymi deskami. Na obu szmaty w nieokreślonym kolorze, u sufitu na kółkach „dary z Ameryki”. Zapach dymu i brudu. Podczernione dymem cegły okazują się boczna ścianą pieca w sąsiednim



Opowiada jak bił się w trzydziestym dziewiątym.

nie, z poziomami skarpy i brzegu tworzą gigantyczne, czterostopniowe schody. Odnajdujemy resztki budowli osadzonej w urwisku. Grota? Pozostałości po kolejnej świątyni Sybilli?

Kilkakrotnie, kiedy deszcz wzmagają się, szukamy schronienia w budkach PKS. Chcemy dojechać do dworu Kraszewskich w Romanowie, ale w Hannie mamy dosyć. Stary człowiek zachęca do zwiedzenia drewnianego kościółka, dawniej cerkwi greckokatolickiej wzniesionej w 1739, ofiarując się popilnować rowery. Ksiądz zaciękwiony mają pógłosną modlitwa nad przewodnikiem wychodzi z zakrystii. Marek sprawdza jakość zabiegów konserwatorskich, którym poddano złożone w bocznej kaplicy obrazy. Nie jest najwyższa. Proboszcz powiada z dumą:

— Do tej pory wydałem na konserwację siedem milionów.

Obrazy średniej klasy. Na jednym, już odnowionym — odpryski farby.

— Deska pracuje — dodaje fachowo.

Za chwilę msza. Zmęczeni przenosimy się pod dach dzwonnicy. Podchodzi człowiek od rowerów.

— Trzeba będzie zostać na noc — decydujemy.

— Proboszcz ma dwie plebanie: w nowej jest sam, a w starej mieszkają dwie panie konserwatorki.

— Nam wystarczy miejsce pod dwa śpiwory. I trochę wrzółku na herbatę...

— Jak się nie zgodzi, to przenocujecie u mnie — zaprasza Antoni, bierzmowane Franciszek. Pachnie wędzonymi oscypkami.

— Ja tu kalikuję przy organach, pomagam. Tylko uważajcie, — pokazuje spory przeswit między kościołem a plebanią — kiedy ksiądz wyjdzie po mszy.

Opowiada Antoni jak bił się w trzydziestym dziewiątym w Brześciu, jak potem był w niewoli, pracował całą wojnę u bauera i wrócił.

— Poszedł proboszcz! — krzyczy.

— Niemożliwe, przez cały czas patrzyłem.

— Jest już na plebanii!

Wątpimy, ale ludzie zaczynają wychodzić z kościoła. Mój towarzysz zbiera się i idzie prosić o nocleg. Ma większe atuty; rozmawiał przecież fachowo o konserwacji.

W dwóch plebaniach nie starczyło jednak miejsca na dwa śpiwory. Na słowa Marka, że pójdziemy do Antoniego, proboszcz się roześmiał:

— Jego w ziemie śnieg zasypuje na dwa metry w chałupie.

— Mnie się was szkoda zrobiło... — mówi po drodze Antoni. Jeszcze nie wiemy co to znaczy.

— Dobry proboszcz — Terlecki nie jest zaskoczony. — Pysk wypasiony,

pomieszczeniu bez podłogi — niegdyś kuchni. Nie chcę tam wchodzić. W chałupie ciemno, to nie tylko wina małych okienek. Wszystko co tutaj się znajduje ma trudny do określenia, szarobrudy kolor, jakby nie było ruszane od wieków. Prądu oczywiście nie ma, zakład energetyczny nie jest instytucją charytatywną. Przez wyrwane deski sufitu zagląda strzecha, a dalej ołowiane niebo. Przywiózłbym tu wszystkich drani z dużymi brzuchami siedzących po urzędach, którym usta pienia się od ideałów socjalizmu! Gdyby to cokolwiek dało.

Zaglądam w oczy Marka, którego nęciła przygoda. Są cokolwiek spłoszone

— Posiedzimy panie Antoni, odpocznijmy i w drogę. Do Romanowa.

— Chyba tak...

— Moglibyście spać pod ścianą, a ja na tym. — Pokazuje łóżko z połową desek.

— Nie będziemy panu zwracać głowy, ciasno tu.

— Mam jeszcze stodołkę...

Mówi niepewnie lekko zażenowany.

— To idziemy!

**R**USZAMY. Znowu deszcz, wysoka trawa.

— Marku, to wydarzenie ma wymiar biblijny — mówię.

Stodołka przy chałupie wygląda jak pałac. Murowana, dach kryty eternitem. Ubiegłoroczne siano w zapolu pachnie jakby je przywieziono wczoraj. Są nawet obrazy: Jezus, św. Tereska i papież. Przesuwamy młynek do przewiewiania zboża, z kufra robimy stół, szykujemy kolację. Antoni poszedł wydoić „krówkę-koze”.

— Mleko trzeba przecedzić — mówi po powrocie. — Ja lubię czystość.

I wyciąga z kieszeni spodni brudną, zmiętą szmatę. Mimo naszych protestów rozpościera ją na dwulitrowym kubku i przelewa mleko. Marek pije. Ja nie potrafię się przemóc, choć się staram.

— Jesteś obrzydliwy — zauważa. Ale na zachęty starszka osłania mnie wspaniałomyślnie:

— Kolega wóh piwo.

Zjadamy po kromce chleba smarowanego kitem z Orchówka, resztę oddajemy Antoniemu, który ciągnie o powieść o trzydziestym dziewiątym, pokazując pas u spodni:

— Z Brześcia! Orzeł z korona.

Rozwieszamy przemoczzone ubrania, z nieprzemakalnych sakw wylewamy wodę, mościmy leże. Przy głowie kładę zdrowy, zagięty kostur — na wszelki wypadek. Jak zwykle w nocy budzę się kilka razy, nasłuchując.

(Koniec odc. 2. — cdn.)

Zdjęcia Marek Terlecki

## NOTATNIK ANGIELSKI (4)

Andrzej W. Pawluczuk

5 maja, rankiem.

Dopiero teraz spostrzegam, jak konstrukcja łazienki i urządzeń sanitarnych nastawiona jest na oszczędzanie wody i energii. Przyzwyczajony do naszej niefrasobliwej rozrzutności — tutaj muszę stosować się do tubylczej technologii mycia i golenia. Inaczej — wyszedłbym brudny i zarosnięty.

Tym razem oszczędzę szczegółów. Zwrócono mi uwagę w redakcji, że moje spostrzeżenia, powiedzy — cywilizacyjne — są nudne i rozwlekłe. Skoro więc nie interesuje nikogo, jak inne narody radzą sobie, aby za porównywalne pieniądze mieć nieporównywalnie wyższy poziom życia, powiem tym razem w skrócie. Wody, wskutek owej techniki „wymuszonego” spożycia, zużyłem — mniej więcej — trzy razy mniej. Dotyczy to także wody ciepłej. A teraz niech spec od naszej gospodarki cłbiczy, jakże daje to w Polsce straty w skali całego kraju.

Ale właśnie na tle narodów dobrze zorganizowanych (co w praktyce oznacza: rozumnie rządzonych) widać jaskrawie, jaki ogrom pracy ludzkiej idzie u nas na zmarnowanie. Ile energii społecznej ulega bezpowrotnemu zaprzepaszczeniu, a ile wysiłku wkładają wszelkie władze i instytucje w to, aby energia ludzka nie mogła się samorzutnie zorganizować i rozprzestrzeniać ku wspólnemu pożytkowi. Przykładami służę chętnie, chociaż nie zawsze mogę te przykłady podać do wiadomości publicznej, ponieważ Urząd Kontrolę Publikacji i Widowsk czuwa bacznie, aby niektóre moje myśli nie ujrzały światła dziennego (czego dowodem jest ostatnia konfiskata felietonu „Polskie gospodarstwo”). Z moich obserwacji wynika niezbicie, iż nonsensem jest oficjalna wykładnia naszych rodzimych niemożliwości oszczędnościowych. Powiada się bowiem, że aby oszczędzać, trzeba być bogatym. Jest to kompletna bzdura!

Bzdura po stokroć! — i nigdy dość powtarzania, że to jest właśnie bzdura i mydlenie oczu. Otóż najpierw trzeba być rozumnym i oszczędnym, i właśnie tymi cnotami dochodzi się do bogactwa. Nkt jeszcze na świecie nie osiągnął dobrobytu, odznaczając się od rozumnego i oszczędnego gospodarowania. Pierwszym w dziejach świata systemem, który pragnie to urzeczywistnić, jest realny socjalizm. A dobrobyt jaki jest — każdy widzi.

Słowem — brytyjska łazienka (o maksimum komfortu przy minimum kosztów. Nie widziałem tego ani we Francji, ani w Niemczech Federalnych, czyli tych krajach europejskich, na które Brytyjczycy spoglądają z zazdrością, ponieważ poziom życia jest tam dużo wyższy. Ale nie Francuzi, nie Niemcy stworzyli Imperium, gdzie nie zachodzi słońce, i nigdzie indziej na świecie, ale właśnie w Anglii zaczęła się rewolucja techniczna i przemysłowa, która stanowi o dzisiejszym kształcie cywilizacji.

Ale może idosyć uwag, które prześmiewca łatwo nazwie — na przykład — „rozmyślaniami z sanitariatu”. Niech mu tam! Czystość ciała rodzi czystość i przejrzystość myśli, toteż pokretność ich (czyli prześmiewców) myślenia bierze się przecież z tego, że ciała mają brudne i niedomyte. Co zrozumiałe, bo w ciężkich, sanacyjnych i burzających czasach nie mieli warunków (czworaki nie były raczej wyposażone w pokoje kąpielowe), aby wykąpać w sobie zamyślenie do czystości. (Tu uwaga dla Urzędu Kontroli Publikacji i Widowsk: mówię o prześmiewcach, i niktym innym, dlatego proszę nie skreślać).

Dlaczego nie sposób oderwać mnie, wschodniego Europejczyka od takich zasadniczych myśli o ustroju gospodarki? Cóż, skoro od lat czterdziestu wmawia mi się, że istnieje w socjalizmie, to porównania są nieuchronne. A zatem: zgoda! Mamy w PRL socjalizm realny, ale za to oni, w Wielkiej Brytanii mają socjalizm prawdziwy. Dowody? Proszę! Miarą tzw. uspołecznienia środków produkcji nie jest ustawa, ale to, dla kogo naprawdę produkują. Jeżeli zatem fabryki produkują dla społeczeństwa, i jeżeli społeczeństwo może te wyroby kupić, to znaczy, że zaspokajają one (fabryki) społeczne zapotrzebowanie, co — w zgodzie z marksistowską i Marksowską ekonomią polityczną oznacza, że mamy od czynienia z ustrojem socjalistycznym (prawdziwym!). Jeżeli natomiast tzw. uspołecznione fabryki (środki produkcji) nie zaspokajają społecznych potrzeb, to znaczy, że mamy do czynienia z ustrojem gospodarczym, którego klasycy nie przewidzieli. Ten ustrój, w odróżnieniu od socjalizmu klasycznego (czy prawdziwego) nazywa się „socjalizmem realnym”.

Takie oto myśli prostackie przychodzą mi do głowy w kapitalistycznej (powiedzmy: kapitalizmu realny, a nie podręcznikowy) łazience, zatem chwalał budowniczym kapitalizm! Więcej wystarczy: opuszczam ten przybytek zbytku umyty, wyświeczony i ogolony, ubieram się i schodzę do kuchni na typowe brytyjskie śniadanie.

5 maja, godz. 9.

Typowe brytyjskie śniadanie. Ha, daj nam Boże tyle darów! Wbrew temu, co twierdzi mój przyjaciel Tadeusz Gajl, śniadanie brytyjskie nie polega wcale na owsiance. Oczywiście — są i płatki owsiane, ale oprócz tego: płatki ryżowe, kukurydziane, żytnie (razowe i zwykłe), pszenne (razowe i zwykłe), jęczmienne (razowe i zwykłe) oraz płatki z prosa i soi (także razowe i zwykłe). Do tego suszone owoce winogron, rodzynki, banany, soki różnego rodzaju i kilka gatunków sera. Ponadto jaja na białku, a właściwie

**W** PRZERWIE między sesjami podszedł do mnie młody człowiek i zapytał, czy nie miałbym pół godzinki czasu. On (na znaczku odczytuję, że Conversi) oraz Quaranta chcieliby przedyskutować, przekonsultować jakiś problem. Chętnie. Oba nazwiska znam z publikacji, wiem, że zajmują się sprawami dość bliskimi moich zainteresowań. Umawiamy się na popołudnie w „perystylium”, gdzie są stoły, foteliki, barek. O ustalonej porze nadchodzą, zaskoczenie: Quaranta jest drobną brunetką o czarnych oczach, śmiesznej, nieco dziecinnej buzi i delikatnej figurce. Ma na imię Fiorella. Trudno ją sobie wyobrazić przy wielkim elektromagnecie, badającą (i pochłaniającą) promieniowanie gamma. Panie „robiące w nauce” są na ogół trochę chłopczycami, bywają niekiedy doskonałym towarzyszem i poza pracą naukową, ale Fiorella, figurka z porcelany, całkiem do tej kompanii nie pasuje.

Gdy się zna kogós tylko z literatury, trudno ocenić: młody czy stary, mężczyzna czy kobieta. Przed laty wiele prac opublikował autor węgierski podpisujący się Zs. Kalocsai. Były to czasy, gdy na lodowiskach jaśniała gwiazda Zsuzsy Almassy, śpiewała Zsuzsa Konc; „Zs.” skojarzyłem sobie z tym imieniem, tym bardziej że prace były raczej z chemii, a chemiczek jest wiele. „O, Zuzia znowu coś opublikowała!”. Na jakimś seminarium spotkałem Zs. Kalocsai — okazał się chłopem, Zsoltan mu było. Jest teraz tu, w Gandawie, i przy którymś coffee-breaku opowiedziałem mu o niegdysiejszej pomyłce, zaśmiewał się, powtarzając jak kowboj: „My name is Sue!”

Coffee-break. Nieodłączna część każdej konferencji czy seminarium. Nie chodzi o tę kawę, ale o okazję do porozmawiania i o przerwę. Dwa razy na dzień rozstawia się w perystylium setki plastikowych taczek z plastikowymi dwukolorowymi filiżankami o podwójnych ściankach, plastikową łyżeczką, po torebce z cukrem i mlekiem w proszku, po jednym herbatniku w solidnym i barwnym opakowaniu. Każdy sypie cukier i mleko, miesza, wyrzuca jeszcze nie rozpoczynając kawy: taczkę, łyżeczkę, trzy opakowania. Ze stołu podnosi się tylko filiżankę i herbatnik, reszta idzie do śmietnika od razu, filiżanka w chwilę później. Wielkie pudła zapełniają się plastykiem i papierem. Nie proponowałbym jedzenia drewnianą łyżką ze wspólnej miski, ale plastikowa jednorazowość to jest drugi biegun. Cywilizacja rozrzutna.

Coffee-break is a must. Nie ma wątpliwości, praca umysłowa mężczy (jeżeli się pracuje, a nie udaje). Konferencja jest jak taśma. Natłok informacji, których — przegapiwszy — nie da się dogonić. Przerwy są konieczne. Na dyskusję, ale i po to, żeby posiedzieć, zyczynajnie odprężyć się, pogapić dookoła. Korytarz obwieszony plakatami. Muzyczny Festival van der Leie. Jedź z nami na Karaiby. Za tydzień występy Gilberta Becaud. Fudacja im. Jacquesa Brela proponuje młodym piosenkarzom... Prawda, Brel był przecież stąd, z Flandrii (les Fla-, les Fla-, 'es Flamandes...), zaczynał karierę bodajże w pobliskim Nokke. Inny plakat: wykłady o Europie Wschodniej, w programie „literatura” coś o nas: wykładają Z. Goczol i W. Skalmowski — KUL. To nie ten KUL, mimo pozorów: Katolicki Uniwersytet w Leuven.

Mimo woli usiłuje się przeczytać wszystko, co wpada w oko. Plakaty. Ogłoszenia. Szylidy. Szum informacyjny. „St. Louis — piwo wiśniowe”, lokal „Organizacji Wyzwolenia Palestyny”. Nieco śmieszny dla nas szylid: „Kwik kopie” — powielarnia. Na każdym domu nalepki w oknie: „Kammer te huur” — aha, chamber to hire — pokój do wynajęcia. Jest to dzielnica, gdzie mieści się większość instytutów uniwersyteckich. Pokój dla studenta. W kioskach „Belgica”, czyli tamtejszego

„Ruchu”, powykładane gazety, zauważam tytuł „Kiszczak rozmawia z Wałęsą”. W „Le Soir” rysunek: Jaruzelski jako jabłuszko, z którego wygląda bardzo użębiony robaczek ułożony z literek „solidarność” i gryzie jabłuszko-Gorbaczowa. Pan tu, panie Goworek, piwko „Kriek” popijasz a w kraju dziwne rzeczy... Witryny wypełniają kolorowe tygodniki. Golasów na okładkach pewnie trochę więcej niż u nas, ale Belgia jest przyzwoita: jeżeli piśmko wyklada się w oknie, wszystko, co trzeba (z biustem włącznie), jest zaklejone paskami białej taśmy.

**W** IELU uczestników konferencji bywało w Polsce, choćby na znakomitych seminariach wrocławskich. Zapytałem:

— Jaka jest Polska, tak w największym skrócie?

— Polska jest szara.

Szare domy, szare ulice, szare pola. Jeden Erikson orzekł: „U was jest zielono”, ale on mieszka tuż obok koła podbiegunowego, toteż ma specyficzny punkt odniesienia.

Tu jest rzeczywistość kolorowa. Nie, nie od reklam. Wszędzie maszty z flagami na placach, drzewce osadzone w ścianach budowli. Wiszą flagi miasta, flagi prowincji, flagi państwowe. Wielkie. Każdy większy sklep wywiesza płachcie w kolorach firmowych. Klimat nie jest tu wcale lepszy niż w Polsce (przynajmniej latem), a restauracje wykipiały na ulice; każdy ogródek ze stolikami nakryty jest markizą pasiastą, biało-niebies-

## Dusza i parasol

## FIZYK

Tomasz Goworek

ką, biało-czerwoną, olbrzymią. Domy są kolorowe: ciemna czerwień ścian kamieniczek kontrastuje z białymi gzymsami i obramowaniami. Gdzieś w okolicy pl. Sw. Piotra natrafiłem na wieżę ciśnienia. Okrywa ją budynek na planie kwadratu z zaokrąglonymi narożami i nieco wklęsłymi bokami. Cały pokryty jest zwierciadlanymi pionowymi taflami, w których odbijają się chmury, odbijają się dziewiętnastowieczne ceglane koszary Leopolda. Nie ma dwóch tafli w tej samej płaszczyźnie, budynek koszar jest widoczny, poszatkowany na wąskie pasy. Każda tafla odbija inny fragment nieba: o zachodzie błękit, złoto, czerwień.

Ale czy Polska jest szara? Chyba przesadzają, zauważyłbym. Jest przecież zielen, domy maluje się w różne kolory. Po powrocie wyszedłem z dworca na Okęciu i popatrzyłem na Warszawę przede mną. Jest szara.

**W** GANDAWIE zostawiłem część duszy. I parasol.

Był to stary parasol Marty i bardziej mi go ukradziono, niż go zostawiłem. Pierwszego dnia, późnym popołudniem wyszedłem spomiędzy uliczek nad rzekę i oczom moim ukazał się ogromny i bardzo sędziwy budynek stojący na przeciwnym brzegu. Oświetlony słońcem, niski a długi mur z białych kamiennych bloków i kontrastujący z nim czarny dach, ozdobiony lukarniami o schodkowych attykach, odbijały się w wodzie. Rzuciłem się do fotografowania, a że parasol mi przeszkadzał, położyłem go między dwie taczki, leżące opodal, obok jakiejś pakamery i stołu do prac słarskich. Po czym zapomniałem.

Wspomnienia mojego ojca, spisane w Iraku w 1943 r., zostały mu niestety skradzione wraz z częścią bagażu podczas przeprawy przez Kanał Sueski. Zachował się tylko, początek, w barwnej relacji przedstawiającej to, co działo się w okolicy Krzemieńca i w samym mieście począwszy od 18 września 1939 aż do wkroczenia Armii Czerwonej, pierwszego aresztowania i pierwszego przesłuchania (po którym został zwolniony, prawdopodobnie dzięki „matorolnemu” pochodzeniu chłopskiemu). Z przeżyć w „obozach drucianych” na Wołyniu przechowały się tylko szkice pisane wiele lat później, z różnych okazji. [...]

Zbliża się rocznica Września 1939 r. Być może jest to już w planach Redakcji, ale na wszelki wypadek zwracam uwagę na dużą potrzebę zbierania i opublikowania „relacji” o pobycie Armii Czerwonej na Lubelszczyźnie w ciągu niewielu dni przed 28 września 1939 r., gdy w Moskwie skorygowano układ „graniczny” (rozbiórowy) z 23 sierpnia. Jest wielu Wielkopolan, którzy w czasie ewakuacji znaleźli się na tamych terenach w drugiej połowie września 1939 r. i na własne oczy widzieli realizację stosownego punktu w tajnym protokole układu Ribbentrop-Mołotow. O tym ważym epizodzie niewiele wiadomo; sam spotkałem jedynie wzmianki „między wierszami” we wspomnieniach Józefa Huberta, również Wielkopolanina, pt. „Odwroczone losy” (Wydawnictwo MON, 1977, str. 18, wiersze 3 i 4 od dołu oraz str. 23, wiersze 6—7 od góry).

Ryszard Walczak, Poznań

## LISTY

Niewielka liczba egzemplarzy „Relacji” dociera do kiosków Poznania prawie tydzień po dacie ukazania się (w środę lub w czwartek następnego tygodnia). „Relacje” dostrzegłem począwszy od numeru 8., w którym wydrukowano odcinek 4. pamiętnika Wacława Flisińskiego „Od tagrów Komi do winnic Italii”. Jest to dla mnie lektura zajmująca ze względu na pewną analogię do losów mojego ojca Stanisława (ur. 1905 r? Wróblewie pow. Wieluń, zm. 1967 w Manchester, Anglia), należącego do tej samej rzeszy „nieoficerskiej” jeńców polskich zagarniętych do niewoli na ziemiach wschodnich RP. Jego losy odbiegały jednak o losów Flisińskiego o tyle, że: podobnie jak Wacław Czerwiecki z odcinka 7. — był zakonspirowanym podporucznikiem rezerwy („zdegradował” się do stopnia kaprala już w końcu września lub na początku października 1939 r., po przeczytaniu „odezwów” Timoszenki); z wyjątkiem kilkutygodniowego pobytu w Szepietówce nie był do czerwca 1941 wywieziony poza granicę RP z 1939 r.; w następstwie powyższego — nie zagnał losów tych, którzy z Zagłębia Donieckiego pojechali w 1940 r. za Kolo Polarne. W okresie wstępnym różnica między jednym a drugim rysuje się też w tym, że warunki bytowania w Zaporozu, tak jak je opisuje Flisiński zimą 1939—1940, to prawdziwe sanatorium w porównaniu z tym, co musieli znieść jeńcy polscy zgromadzeni w wielu obozach na Wołyniu (całą zimę przeżyli w końskich namiotach, praktycznie bez ogrzewania i oświetlenia).

Jak wynikało z lektury przewodnika, ów budynek to były „Wielkie Jatkki”, zbudowane gdzieś w czasach naszego Grunwaldu. W średniowieczu szlachetowano bydło na miejscu, wolno było sprzedawać mięso tylko bezpośrednio z uboju. Wszelkie flaki i podroby wyrzucano, i trzeba było ze 200 lat, aby pomyśleć, że warto je dać biedocie — do głównego budynku dobudowano izdebki „Penzhuizkens” z tymi podległymi gatunkami. W gmaszysku mieściło się ponad sto kramów, sala obrad cechu rzeźników, a nawet ich kaplica. Dawniej jatki stały na czymś w rodzaju arkad (szczyty sklepień widać i dziś), pod nimi mogły przepływać łodzie na targ rybny, położony wówczas po drugiej stronie budynku. Dziś brzeg rzeki obmurowano, urządono wąski trawnik, a targ rybny zamienił się w zieleniak, targ z owocami, głównie południowymi.

W ścianie jatek zachowały się żelazne okowy przęgierza czteroosobowego. Gandawa była wielkim miastem, widocznie pojedynczy przęgierz nie wystarczał. Na hańbę wystawiano nie tylko ludzi; w mieście solidnych rzemieślników, pracowitych tkaczy, istniał osobny przęgierz, na którym wywieszano źle zrobione sukno. Służył do tego pierścień żelazny na tzw. „Wieżycze” (Toreken) przy Targu piątkowym.

**P**O powrocie do hotelu studenckiego przypomniałem sobie o parasolu. Niech to licho, w tym klimacie jest konieczny! Pobiegłem do pakamery nad rzeką — zakątek zupełnie nie-

uczyszczony, parasol w miejscu raczej niewidocznym, a jednak znikł. W Belgii jak w kraju. Było już ciemno, gdy wracałem do domu po raz drugi. W ciemności wspaniale jaśniały witraże katedry, oświetlone od wewnątrz. To robi wrażenie nawet dziś. Witraże są całkiem nowe, po średniowiecznych nie zostało ni śladu. Przez cztery lata, w końcu XVI wieku, istniała tu republika kalwińska i działał ruch ikonoklastów, obrazoburców. Były to podobno czasy wyjątkowego terroru, przez kilka lat prześcignięto dorobek hiszpańskiej inkwizycji, a ikonoklasta porozbijali rzeźby, wyrzucili obrazy, powybijali witraże. Każda epoka ma swoich hunwejbiniów, co kochają zniszczyć.

Deszcz się śnił, ulice były puste. Przejżdżający obok niebieski wóz sportowy zatrzymał się i kierowca zapytał o drogę do „Domu Fabiola”. „Dom Fabiola” to akademik sąsiadujący z moim „Domem Vermeylen”, mogłem więc wytłumaczyć:

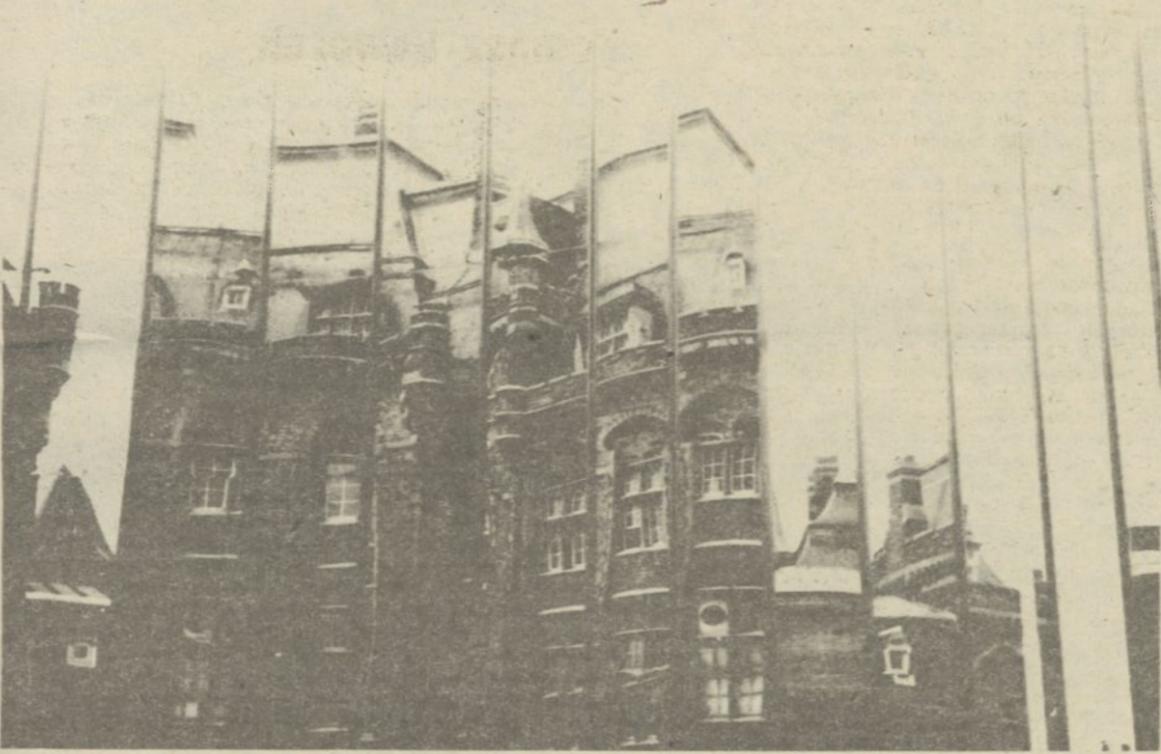
— Pojedź pan cały czas prosto, do Sint Pietersplein i dalej, aż po lewej będzie brukowana uliczka Stalhof, łatwo rozpoznać, „Dom Fabiola” będzie po prawej. Zresztą idę w tamtą stronę... — To może podwieźć?

Chętnie przystałem na przejażdżkę Mazdą, powiedzmy że z powodu tej mżawki. A wysiadając rzekłem:

— Teraz mogę się już przyznać: jestem w Gandawie od kilku godzin i pierwszy raz w życiu. „Dom Fabiola” jest jedynym domem w tym mieście, jaki znam...

(Koniec odcinka 4. — dokończenie nastąpi)

## W GANDAWIE



Cały pokryty jest zwierciadlanymi pionowymi taflami, w których odbijają się dziełnastowieczne ceglane koszary Leopolda. Fot.: Autor

W ostatnim czasie dużo mówi się o wyjaśnianiu i likwidowaniu tzw. „białych plam”. Śmiem jednak twierdzić że popada się przy tym w skrajność, co grozi tworzeniem świadomości bądź nieświadomości, nowych „białych plam”. Nie jestem przeciwnikiem umurowania na Zamku tablicy. Niemniej jako przeciętny człowiek szukam odpowiedzi na pytanie — kogo uhonorować? Czy wszystkich? Przecież Zamek w latach 1944—54 był więzieniem nie tylko dla bojowników o wolność w okresie II wojny światowej. Odbywali tam wyroki, bądź oczekiwali na rozprawy sądowe nacjonaliści ukraińscy spod znaku tryzub, pospolici bandyci z bojówek NSZ, mordercy i terroryści. Ich dziełem było niszczenie, rabowanie, mordowanie, uprowadzanie oraz stosowanie okrutnych tortur. Pan redaktor Miazga poszukuje byłych więźniów Zamku lubelskiego, represjonowanych i torturowanych przez aparat bezpieczeństwa publicznego. Niewątpliwie jest to temat zasługujący na gruntowne zbadanie i opracowanie. Problem w tym, że okres powojenny Polski wymaga od badacza dużego obiektywizmu, wnikliwości, rzetelności, a przede wszystkim wyzbycia się uprzedzeń i emocji z pobudek politycznych. Cykl lubelska „biała plama” podporządkowany jest koniunkturze politycznej. Dla mnie osobiste przedstawione postaci to żadne autorytety zasługujące na uznanie. Przecież sami „bohaterowie” przyznają się do dezercji z wojska, fałszowania dokumentów i bardzo niejasnych innych spraw. Nie sądzę, by ci panowie mieli moralne prawo do oskarżania innych.

Czy można zapomnieć powojenną hańbę wymordowania 191 mieszkańców Wierchowiak, w tym

47 dzieci? Większość „żołnierzy” podziemia biorących udział w tym haniebnym mordzie żyje, a ich dzieci i wnuki wykształcone w Polsce Ludowej zajmują kierownicze stanowiska, są naukowcami, lekarzami, dziennikarzami też.

Pisząc o lubelskiej „białej plamie” niech pan weźmie pod uwagę, że ci „bojownicy” o Polskę też byli więźniami Zamku lubelskiego. Niektórzy z nich pod zmienionymi nazwiskami uciekli na Ziemię Odzyskaną, a niektórzy mieszkają w Wojsławicach, Grabowcu, Hucie, Olszance, Bończy i innych miejscowościach województwa chełmskiego i zamojskiego. Wracając do umurowania na Zamku tablicy ku czci pomordowanych i więzionych w latach 1944—1954, moim zdaniem przysiężnicę to należy zrealizować, z tym jednak, że treść tablicy winna odzwierciedlać — w miarę możliwości — prawdę historyczną, przypominając, iż w dziejach narodu polskiego był taki czas, kiedy brat strzelał do brata. Tu nie można pominąć ani tych z lewej, ani tych z prawej. Treść tablicy winna łagodzić gorycz i ból, jednocześnie a nie dzielić. Nie jest mi obojętna treść tablicy, bowiem wśród trzech tysięcy zamordowanych przez podziemie mieszkańców województwa lubelskiego są też moi najbliżsi. Przeżyli okrucieństwa okupacji, a zginęli w majowym dniu 1945 roku, trzy dni przed końcem wojny. W jaki sposób zostali żywcem zamęczeni, tego bez lez opisać się nie da. Jak pan redaktor widzi trudno mówić o bezwzględnej prawdzie obiektywnej, takiej po prostu nie ma.

Stała czytelniczka

Stanisława Głowacka, Lublin

## NOTATNIK ANGIELSKI (4)

na balkon, u nas prawie nie znanym, sałatka z pomidorów, a na zakończenie kawa lub herbata.

Wiedząc o tym, że będę dużo chodził po mieście, starałem najadać się do syta, czyli do pełna. Ale kiedy wstawałem od stołu, najczęściej po kawie i parominutowej pogawędce (inni w tym czasie palił papierosa) — byłem już lekki i takomnie parzyłem na pozostawione jadlo. Ale że nie wypadało grościć o dokładkę, więc wstawałem jak inni. I — niebawem! — to lekkie śniadanie trzymało mnie doskonale do późnego popołudnia, czyli do godziny oszwarej-piątej.

Dlatego znowu musi być refleksja ustrojowo-cywilizacyjna. Po pierwsze: dobre śniadanie daje dobry napęd do roboty. Człowiek po prostu pracuje, zamiast myśleć o drugim śniadaniu czy przerwie na obiad. Po drugie — to nie musi być mięso, (w PRL powszechnie uważa się, że tylko mięso daje odpowiedni napęd do pracy). Mięso — ponieważ w PRL nic oprócz mięsa nie istnieje. Nie ma serów, płatków (zadnych), dobrego mleka, które piłoby się bez otrzyżenia, a soki są mniej więcej w cenie wódki. Mięsa też oczywiście nie ma, ale mnie chodzi tu o uchwycenie sposobu myślenia, który wyznaczony jest przez stan — powiedzmy — ogólnocywilizacyjny. Tak więc zjadłszy marnie śniadanie Polak rozgląda się około godziny jedenastej za drugim śniadaniem, a następnie około godziny 13—14, za obiadem w fabrycznej (zakładowej, komitetowej czy związkowej) stołówce. Jeżeli się dopcha i ma numerka, zjada posiłek prymitywny, niesmaczny, marny, w tłoku i na brudnym stoliku. Wymaglowany w trolejbusie (autobusie, tramwaju, pociągu) wraca do domu zły i... znowu głodny, bo przecież w stołówce — zjadł marnie i prymitywnie. Dlatego wieczorem znowu coś zjada, ale przecież nie jajka na szynce i półmisek sałaty, ale chleb, kartofle i — czasami — kawał tustej wieprzowiny. Dlatego rankiem wstaje ociężały, z brzuchem napęczonym, sytym, ale brak mu energii, ponieważ jadlo poszło tylko w brzuch. Toteż w trolejbusie (autobusie, tramwaju, pociągu etc.) pokrzykuje i wykrzywia się na współziomka, gdyż znowu myśli o własnym brzuchu. I popatrzywszy teraz z dystansu na historię ludzkości. Narody, które miały problem z napełnieniem brzucha, nie wymyślały raczej maszyny parowej, samolotu i nie produkowały w nadmiarze glazury. Przeciwnie: padały łatwym łupem społeczeństw, które osiągnęły wyższy poziom rozwoju, a mogły ten wyższy poziom osiągnąć tylko dlatego, że miały co jeść.

Zwłaszcza dzisiaj, gdy widmo głodu zagląda nam w oczy, warto przypomnieć te podstawowe prawdy, te truizmy, te oczywistości, dzięki którym cywilizacja Zachodu mogła się rozprzestrzenić, oparować Europę i nas, Polaków przekonać o swych zaletach do tego stopnia, że woleliśmy przyjąć chrześcijaństwo rzymskie, niż bawentyckie

5 maja, godzina 9.30.

Szykujemy się do wyjścia. Pociąg odchodzi za dziesięć minut, do stacji idzie się minut sześć, a zatem cztery minuty wstarczą, aby włożyć buty i pożegnać się z rodziną. Robimy wszystko bez pośpiechu, bez nerwów, gdyż wiadomo, że pociąg będzie na peronie co do sekundy. I rzeczywiście: kiedy wchodzimy na stację, pociąg akurat podjeżdża i nie ma tu tej bieganiiny, przepychania i potrącania kobiet, które widzi się podczas wsiadania do porannego pociągu z Lublina do Warszawy. Jeżeli bowiem wiadomo, że pociąg przyjedzie zawsze o czasie i że zawsze będzie w nim tyle miejsc do siedzenia, co sprzedano biletów, to wówczas wytłacza się zwyczaj, że przepychanie nie ma żadnego sensu. Sprawne funkcjonowanie organizmu społecznego polega więc na kształtowaniu pewnego rytuału, powiedzmy nawet — schematu czy stereotypu, ale przecież chodzi tutaj o swego rodzaju wydajność w makroskali. Tak wydajność, ponieważ ogranicza się to w sumie do tego, aby nie tracić czasu bezproduktywnie, aby nie tracić na próżno energii fizycznej i psychicznej.

5 maja, cały dzień.

Zwiedzam Londyn, a przede wszystkim National Gallery, znajdującą się tuż przy Trafalgar Square.

Ale zanim wejść do muzeum, spaceruję trochę po sąsiednich ulicach i samym placu. Najpierw na Strandzie zwraca moją uwagę tutejsze europejskie funkcjonowanie banków; po naszymu — chodziłoby o przede wszystkim o PKO. Aby wybrać trochę własnych oszczędności, trzeba u nas dobrze postać w kolejce. W socjalistycznym kręgu cywilizacyjnym nie istnieje coś takiego jak klimatyzacja w banku, toteż stoi się w zaduchu, często smrodzie i tłoku, bo wielu ludzi uważa, że jak będą się pechać, to będzie szybciej.

Tutaj jest to bardzo proste. Każdy, kto ma konto w banku dostaje tzw. kartę kredytową. Na oko nie różni się ona specjalnie od biletu do metra, ma tylko trochę inny kolor. Ale przede wszystkim ma wbudowany pasek z folii magnetycznej, na którym zapisany jest numer i stan konta. Budynek każdego banku (a na każdej większej ulicy znajduje się co najmniej jeden bank) zaopatrzone jest od strony ulicy w kilka tzw. okienek, które działają całą dobę na okrągło. Jeżeli włoży się tam kartę kredytową w odpowiedni otwór i za dysponuje odpowiednią kwotą do wypłaty, z otworu wysypują się pieniądze. Proste? Bardzo proste, ale żeby coś takiego zrobić trzeba wiedzieć, że to bank jest dla klienta, a nie klient dla banku (choćby nazywał się on Narodowy Bank Polski). (cdn.)

## LISTY

## „POLSKIE GOSPODARSTWO”

Różnorodność tematów poruszanych na łamach waszego tygodnika zarówno przez etatowych redaktorów, jak i wiernych wam czytelników — skłoniła i mnie od rozszerzenia tematu, jaki poruszył A. W. Pawluczek w numerze 16. „Relacji” pt. „Polskie gospodarstwo”.

Pan Pawluczek trafnie ocenia działalność gospodarczą administracji osiedlowych, ale nie wiem czy zdaje sobie sprawę, że poruszył szerszy problem ogólnospołeczny i krajowy.

W roku 1969 — zgodnie z zarządzeniem ministerstwa — administracje zakładów uspołecznionych i spółdzielcze na stałe masową zostały upoważnione do tworzenia własnych grup remontowo-konserwacyjnych - budowlanych celem usuwania na bieżąco awarii, usterek, spartaczonych robót, jak i wykonania robót nowych na terenie zakładów i jednostek im podległych.

Prace te do tej pory zlecane były w większości sektorowi prywatnemu, gdyż zlecenia wykonania robót przez uspołecznione jednostki specjalistyczne zatwierdzone były odmownie (rzekomo „z uwagi na zapelnione i zamknięte portfele „leceń”). W rzeczywistości zakłady uspołecznione specjalizujące się w wykonywaniu robót remontowych i profilu ogólnobudowlanego, wybierały sobie roboty tzw. „grube” i bardziej popłatne. Jednocześnie władze miast i administracji (zgodnie zresztą z zarządzeniem ministerstwa) dążyły do ukrócenia na swoim podwórku działalności sektora prywatnego i przelewania do niego pieniędzy za wykonane usługi. Zapewne zdaboby to egzamin w praktyce i funkcjonowało prawidłowo, gdyby działalnością tą kierowali ludzie z odpowiednim przygotowaniem zawodowym i osobistą pasją.

Znam te sprawy od podszewki, gdyż borykałem się z nimi przez 15 lat, organizując taką grupę w 1970 r. od podstaw, w jednym z lubelskich urzędów.

W początkowej fazie organizacji i początkowej działalności skutecznie pomagał mi w tym inżynier budowlany o dużej wiedzy fachowej, który ukończył uczelnię lubelską WSI. Potrafiliśmy zatrudnić około 20 pracowników fizycznych w siedmiu branżach. Była atmosfera dobrej pracy, zaangażowanie i, co się rzadko zdarza, ogólne zadowolenie z jej efektów. Budowało to każdego z nas.

Niestety, gdy się dobrze dzieje — licho się budzi. Ojców sukcesu zaczęło przybywać, z dyrektorem urzędu na czele. Z sekcji administracyjnej — liczącej 5 osób do roku 1981 — utworzono 2 oddziały: remontowo-budowlany i administracyjny, zatrudniając 12 osób pracowników umysłowych, przy zatrudnionych 8 do 10 pracowników fizycznych. Nietrudno się domyślić — czy to byli ludzie i jak awansowali w branży, o której nie mieli zielonego pojęcia. Wprowadzono poprzez wewnętrzne już zarządzenia nowe (nie sprawdzone) systemy planowania, rozliczeń, plik nowych druków sprawozdań miesięcznych, kwartalnych, rocznych. Zadawałem sobie pytanie, co tu wykazywać w tych sprawozdaniach, jeśli wszystko się wali i coraz mniej efektów? Byłem nawet świadkiem sytuacji jak umysłowy pracownik dyrekcyjny przez cały dzień roboczy ubiegł się o 2 podpisy na piśmie zawierającym 4 krótkie zdania.

Pierwszy — z tych i innych względów — podziękował za pracę wspomniany zdolny inżynier. Ja borykałem się jeszcze do 1985 roku. Mając już jasny obraz sytuacji, jaka się wytworzyła, doszedłem do wniosku, że jest to walka z wiatrakami. Postanowiłem podjąć pracę na etacie pracownika fizycznego w innym zakładzie, którą do tej pory wykonuję i jestem z niej zadowolony, chociaż z kierownictwem i administracją różnie to bywa.

Tak więc, droga redakcyjo i panie Pawluczku: nie na darmo przytoczyłem tutaj kilka faktów i epizodów z życia wziętych. Przy takim systemie organizacyjnym struktur administracyjnych placzą nie tylko uczeni ludzie, mieszkańcy osiedli, ale placzą i z nimi nasza matka — Ojczyzna. Przecież wszyscy wiemy, jakimi metodami budowany był ten kolos administracyjny przez 45 lat w Polsce. Ale wiedzieć to mało. To trzeba wyrwać korzeniami, innego wyjęcia nie ma.

Kazimierz Bil, Lublin

## TAM, GDZIE ROSNĄ POZIOMKI

Dokończenie ze str. 1

że pisany był przez osoby w różnym wieku. Po takiej konstatacji Zdzisław Jabłonowski włącza video i na ekranie widzimy przebieg eksperymentu. Joannę została zahipnotyzowana i następnie „przeniesiona” do wieku piętnastu lat. Otrzymała polecenie napisania zdania. Potem eksperyment powtórzono, z tym, że wędrownka odbyła się do okresu gdy miała dziesięć lat. I wreszcie po raz trzeci pani Joanna pisze „Ale ma kota” jako siedmiolatka. Robi to wszystko niemałe wrażenie.

Sama zainteresowana powie:

— Wiedziałam doskonale, że Zdzisław jest znakomitym hipnotyzerem i zapewne potrafi tak poprowadzić przebieg porodu, że uniknę przerażającego bólu. Wątpliwości jednak pozostawały. Ostatecznie zostały one usunięte po leczeniu u stomatologa. Miałam zepsute trzy zęby. Jeden był do wyrwania, a dwa do leczenia kanałowego. Co to znaczy, wie każdy, kto był u dentysty. We wszystkich przypadkach stomatolog współpracował ze Zdzisławem i w żadnym z nich nie czułam bólu. Mało tego. Po ekstrakcji zęba, na polecenie, ustąpiło krwawienie dziąsła. Te doświadczenia przekonały mnie, że mogę rodzic w hipnozie-bez obawy bólu.

Pani Joanna dodaje przy okazji, że Zdzisław Jabłonowski i jego sugestia hipnotyczna okazały się pomocne, kiedy po urodzeniu pierwszego dziecka miała poważne zaburzenia laktacji i w końcu przestała karmić piersią, a co po kilku seansach spowodował „pojawienie się” pokarmu. Wszystkie te fakty okazały się, na tyle zachęcające, że kiedy okazało się, że Joanna jest w ciąży, nie było w zasadzie wątpliwości, jak będzie przebiegał poród. Pozostawało tylko — drobiazg! — przekonać do sprawy ginekologów. Nie było to wcale łatwe...

20 czerwca 1988 roku przypadał termin planowego rozwiązania. Docent Bielecki wziął dyżur, a Jabłonowski przyjechał po Joannę samochodem. Do kliniki przybyła również dziennikarka „Kurieru Podlaskiego”, Grażyna Głiszczynska, która o pierwszym w Polsce porodzie w stanie hipnozy dowiedziała się swoimi „kanałami”, choć fakt ten trzymany był w tajemnicy.

Okolo godziny 21 położnica została zahipnotyzowana i wywołano pierwsze skurcze. O godzinie 0.55 Joanna urodziła córeczkę Magdę.

— Pamiętam bardzo dobrze przebieg porodu. Pamiętam głos docenta Bieleckiego i Zdzisława oraz komendy, jakie otrzymywałam. Nie potrafię natomiast powiedzieć, ile czasu trwał poród. Kiedy mnie zapytano, powiedziałam, że chyba pół godziny, podczas gdy w rzeczywistości trwał niemal — cztery. Kilkakrotnie podczas porodu Zdzisław wywoływał u mnie wrażenie zrywania w lesie poziomek i jedzenia ich. Pamiętam dobrze ich smak. W tę rzeczywistość byłam przenoszona, gdy docent stwierdzał, że skurcze zbyt mnie męczą i potrzeba mi relaksu. Samą chwilę narodzin również pamiętam, bo byłam wybudzona na tyle, aby odczuwać lekki ból. Pamiętam także, jak docent położył mi Magdę na brzuchu i powiedział: „Masz córkę”. Było to wspaniałe uczucie. Zapamiętam je na zawsze! Tyle Joanna.

Odwiedziłem mieszkanie państwa Szymańskich niemal dokładnie w pierwsze urodziny Magdy. Dziewczynka chowa się dobrze, nie było z nią jakichkolwiek kłopotów zdrowotnych. Jest akurat dziadek dziewczynki, który przyznaje się do pewnego spisku. Otóż, kiedy 20 czerwca 1988 roku po Joannę przyjechał Zdzisław i zabrał ją do kliniki, babcią o niczym nie wiedział. Wersja oficjalna brzmiała: spacer. Do północy dziadek krążył wokół szpitala i czekał na wynik. Wrócił jednak do domu, nie mówiąc żonie, co się dzieje. Dopiero kiedy o pierwszej w nocy zadzwonił telefon i okazało się, że rodzina powiększyła się, powiedział wszystko małżonce. Naturalnie ucieszyła się, ale swoje musiało wysłuchać...

Przy pożegnaniu Joanna Szymańska mówi mi:

— Chciałabym gorąco polecić metodę rodzenia w hipnozie wszystkim dziewczynom, które boją się bólu lub ciężko przeszły pierwszy poród. Może nie powinienam tego teraz mówić, ale pewnie usunęłabym ciążę, gdybym nie wierzyła w skuteczne działanie hipnozy w usuwaniu niemożliwego do zniesienia bólu...

Wyznanie to z pewnością zasługuje na szacunek i trudno nie wierzyć w jego szczerłość.

DOCENT Bielecki:

— Przypadek Joanny Szymańskiej wydał nam się na tyle zachęcający, że postanowiliśmy go powtórzyć. Do tej pory przeprowadziliśmy dziewięć porodów w hipnozie, a także pewną liczbę usunięcia siłami natury płodów martwych, dotąd usuwanych wyłącznie operacyjnie. W żadnym z przypadków nie było powikłań i kłopotów medycznych. Kobiety chwalały sobie naszą metodę, podkreślając jej humanitaryzm: mają świadomość sytuacji porodu, a jednocześnie mniej cierpią. Wszystkie położnice deklarują gotowość następnych porodów w hipnozie. Nasze wyniki przedstawiliśmy w maju br. na jeździe ginekologicznej w Katowicach, gdzie spotkały się ze zrozumiałym i dużym zainteresowaniem. Z medycznego punktu widzenia najciekawsze wydaje się sterowanie skurczami mięśni gładkich w stanie hipnozy, co jest nie do uzyskania w normalnych warunkach czuwania. Ponieważ mięśnie te grają wielką rolę w czasie trwania porodu, mogę powiedzieć, że uzyskaliśmy poważny wpływ na jego długotrwałość, z tendencją naturalnie do skracania czasu rodzenia i oszczędzania położnicy cierpienia.

Inżynier Jabłonowski:

— Mimo zachęcających wyników, o których mówią pan docent, trzeba powiedzieć, że naszej metodzie daleko jest do powszechnego stosowania. Dlaczego? Po pierwsze nie każda położnica jest podatna na hipnozę. Proces przygotowania jej do porodu w stanie hipnotycznym wymaga co najmniej dziesięciu spotkań, podczas których kobieta przyzwyczaja się do mego głosu, uczy się reagować na polecenia, nabiera zaufania. Jest to więc proces rozłożony w czasie, a nie działanie jednorazowe, gdy zaczynają się już bóle porodowe. Jestem sam i nie mogę przygotować naraz kilkunastu czy kilkudziesięciu kobiet w ciąży. Trzeba więc wyraźnie powiedzieć, że ten rodzaj porodów nigdy nie będzie masowy, chociaż niewątpliwie także w innych ośrodkach takie próby powinny być, i już są podejmowane. Chodzi jednak o to, aby brali się do tego rzetelnie przygotowani hipnoterapeuci i przekonani o pożyteczności zabiegów ginekologicznych.

FINAŁ mojej wizyty w białostockiej klinice.

Sala porodowa. Na łóżku położnica, a wokół niej ludzie w jasnej zieleni: doc. dr hab. Marian Bielecki, prof. dr hab. Zdzisław Falicki — kierownik Kliniki Psychiatrii AM w Białymstoku, inż. Zdzisław Jabłonowski, położnica. Obok łóżka aparatura zapisująca wykres oddechu i tętna matki oraz tętna płodu. Zdarzenie jest rejestrowane w technice video.

Jabłonowski:

— Proszę się odprężyć. Oddychamy, głęboko oddychamy. Jest pani spokojna, rozluźniona. Ogarnia panią spokój...

Kobieta zasypia. Jest to jej druga ciąża. Trzeci dzień po obliczonym terminie porodu. Czynności skurczowe występują od trzech godzin.

— Słucha pani tylko mego głosu. Inne głosy pani nie interesują...

Wykres oddechu jest bardzo równy. Kobieta ma zamknięte oczy. Odnosi się wrażenie, że właśnie zasnęła pierwszym snem po codziennej krzątaninie. Po nakarmieniu męża i dziecka, zmyciu naczyń, sprzątnięciu kuchni, kilku lykach telewizyjnej papki.

— Proszę napiąć macicę. Mocniej. Mocniej i głębiej. Jeszcze głębiej. Dobrze, wystarczy... Jest pani wypoczęta i spokojna.

Docent zwraca uwagę na wykres tętna płodu. Bardzo równy. Dziecko nie denerwuje się.

— Jak się pani czuje?  
— Dobrze...  
— Czy panią coś boli?  
— Nie.  
— Czy jest pani zmęczona?  
— Nie.  
Docent do inżyniera:  
— Następny skurcz samoczynny będziemy wzmocniać.  
Skinięcie głowy.  
Jabłonowski:  
— Mocno przemy. Mocno. Jeszcze mocniej. Przemy, przemy! Jeszcze! I rozluźnić...  
— Jak się pani czuje?  
— Dobrze.  
— Przy następnym skurczu urodzi pani dziecko.

Na twarzy kobiety maleńkie kropelki potu. Zbliża się rozwiązanie.

— Przemy, przemy! Mocniej! Jeszcze mocniej! Jeszcze! Na koniec będzie trochę bólu. Nie będzie on silny. Proszę się nie denerwować. To już naprawdę koniec. Przemy! Przemy z całej siły!

— O Jeeezuu!  
— Urodziła pani syna.  
— O Boże, syna...

— Proszę go wziąć na brzuch. O tak pod paszki. Niech go pani przytuli do siebie i zapamięta ten moment. To jest najważniejszy moment w pani i jego życiu!

Sala wypełniona wrzaskiem noworodka. Matka wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczyma: A moje robia się wilgotne. Zaczynam żałować, że nie uczestniczyłem w narodzinach moich dzieci, mimo że koleżdy-ginekologdy mi to proponowali. Bałem się. Po prostu.

Położna odbiera dziecko. Odcięta zostaje pępowina.

— Pani syn waży cztery kilo trzydzieści i ma pięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Kawał chłopca! Jak będzie miał na imię?

— Norbert.

— Za chwilę będziemy się budzić.

Jak się pani czuje?

— Dobrze

Po wybudzeniu.

— Jak się pani czuje?

— Dobrze, panie docencie.

— Pamięta pani coś? Co pani słyszała?

— Pana Jabłonowskiego...

— Jest pani zmęczona?

— Nie.

— Jak długo trwał poród?

— Nie wiem. Krótko. Może godzinę...

W rzeczywistości niemal pięć godzin.

— Nie staramy się robić niczego na siłę i ekspres. Poród pojmujemy, jako przejście z jednego środowiska życia do drugiego. Poród niczego nie kończy i nie zaczyna. Jest tylko etapem

— mówi mi docent Bielecki.

●

Podobno taki ból jest dla mężczyzny nie do pojęcia. Ból rodzenia. Bywa także dla kobiet. Znam kilka, które nie zdecydowały się na posiadanie dzieci, bo zwyczajnie i po luzku boją się tego bólu. Znam również takie, które po porodzie przechodziły psychozy poporodowe. Psychiczna zdolność obronna organizmu okazała się zbyt słaba. Przeżycie rodzenia musiało dopełniać się w stanach patologicznych, do zamachów na życie dziecka — postrzęganego jako „sprawcę” nieszczęścia i bólu — włącznie.

Nie dziwnego, że problem ograniczenia czy wręcz zupełnego znoszenia bólu zajmuje poważne miejsce w teorii i praktyce położnictwa. Obok metod farmakologicznych coraz częściej sięga się u nas po metody medycyny naturalnej znane i skutecznie stosowane gdzie indziej. Pierwszy raz zetknąłem się z nimi w Japonii, gdzie w Tokio mogłem oglądać film z porodu przeprowadzonego w znieczuleniu akupunktury. Było to jedenaście lat temu. Jedenaście dni temu widziałem jak rodzi się dziecko w stanie hipnozy. W Białymstoku.

Waldemar Piasecki

## „Ja tu tylko dołączyłem, żeby sobie pograć”



## WIELKIE RZNIĘCIE

**W**CZWARTKOWE, ciepłe popołudnie, 29 czerwca kazimierski rynek przedstawiał niecodzienny widok. Barwny, ruchliwy tłum układał się w egzotyczną dla mieszcucha mozaikę. Obok ubranych w białe, regionalne stroje górali z dudami na ramionach, przechadzał się, błyskając piórkami, krakowiak. Za nimi dreptały zbite w gromadkę starsze kobiety w kwiecistych, szerokich spódnicach i kolorowych serdakach. Gdzieś w dali jaśniały w tłumie spacerowiczów, białe, powłóczyście szaty kobiet białkopodlaskich. Na ławeczce w cieniu przysiadł staruszek jakby wyjęty z XIX-wiecznej ryciny, w białej, zgrzebnej koszuli i białych, szerokich spodniach, kapeluszu słomkowym o

szerokim rondzie i sznurkowych łapciach na nogach. W rękach trzymał cymbały. Obok usadowiły się kobiety w kolorowych strojach, z koafurami prosto od fryzjera, co zabawnie kontrastowało z ich ludowymi strojami, i patrzyły milcząco na przechodniów.

Niedługo zacznie się kolejny, 23 Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. Tymczasem na estradzie ustawionej między kamienicami Przybyłków a budynkiem SARP-u, trwają ostatnie przygotowania. Towarzyszy im koncert chiński Jean Michela Jarre'a, nadawany przez głośniki. W te uspokajające, nastrojowe tony wdiera się nagle skoczna, porywająca muzyka. To kapela stojąca po przeciwnej stronie rynku, u wejścia do „Esterki”.

przypomina, że to jest jednak festiwal ludowy. Przecisnąwszy się przez zwarty, podrygujący tłum, w przerwie między utworami, staram się dowiedzieć od jednego z grajków, skąd jest ten zespół konkurujący z muzyką elektroniczną. „Pani, ja nie jestem z tej kapeli, ja tu tylko dołączyłem, żeby sobie pograć” — mówi.

Od strony ulicy Lubelskiej, gdzie mieści się Dom Kultury, a w nim biuro festiwalowe, idą na rynek kapele ze śpiewem i graniem. Pierwsi idą górale, wśród nich wokalistka o takiej sile głosu, która z powodzeniem zagłusza spokojną, rzewną piosenkę idących za nią stanszych kobiet. Słychać ją właściwie tylko przez chwilę, bo już na pierwszy plan wysuwa się kapela, rżnąca skoczną polką. W ten sposób zaznaczają swoje przybycie wszystkie zespoły śpiewacze i muzyczne. A jest ich sporo. Do Kazimierza przyjechali najlepsi z 31 województw: 21 kapel, 23 zespoły śpiewacze, 20 wokalistów instrumentalnych i 24 śpiewaków. Razem jest około 1200 osób.

I wreszcie oczekiwane, oficjalne otwarcie, którego dokonuje pani Maria Brzezińska. Będzie prowadziła konferansjerkę przez wszystkie dni festiwalu, na zmianę z wygadana góralką — panią Marią Porębską z Białego Dunajca, a w sukurs przyjdzie im później Stanisław Jaskulka. Po przemówieniach, na dobry początek wystąpił zespół z Marzysza z programem „Marzyskie granie”.

**A**HANDELEK przy okazji festiwalu kwitnie doskonale. Nie jest to jeszcze ten oficjalny, bo Targi Sztuki Ludowej zaczynają się dopiero w sobotę, ale nikt też mu nie przeszkadza. Można podczas tego święta muzyki ludowej zaopatrzyć się w kapelusze słomkowe wszelkiego kształtu, i rodzaju, drewniane świątki, foliowe łabędki, odpustowe świecidełka, których jest pod dostatkiem i różnego rodzaju, taśmy z najnowszymi nagraniami (z Madonną na czale), książki Piłsudskiego, haftowane bluzeczki, obrusy, serwetki, i oczywiście odzież turecką. Jest w czym wybierać.

Najlepszy interes robi jednak mistrzyni ludowa, która sprzedaje na rynku swoje prace wykonane z drewnianych wiórów. Na jej straganie leżą kolorowe kogutki różnych rozmiarów, kwiatki duże i małe. Przez cały czas jej stoisko jest oblegane przez kupujących, i jeżeli towaru braknie, artystka sama wykonuje na miejscu nowe, skleając przygotowane już wcześniej — pedantycznie poukładane w pudełkach — elementy. Wzórów nie czerpie z żadnej tradycji, jak powiedziała, „jeno sama z siebie”. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z prawdziwą sztuką ludową, ale jest za to bardzo kolorowe, w miarę tanie. Idzie jak woda.

Niedaleko rozstawiła swoje krosna staruszka w stroju ludowym. Tka dywaniki.

**N**A estradzie zmieniają się wykonawcy. Wśród fachowców trwa akademicki spór o autentyczność prezentowanych utworów, padają pytania, co zrobić, żeby folklor — nie tracąc nic ze swej autentyczności — był atrakcyjny dla słuchacza. Dyskusje toczą się swoim torem, a wykonawcy, już poza konkursem, na skwerkach, uliczkach, wszędzie, gdzie przyjdzie im ochota, śpiewają i grają dla mniejszego grona słuchaczy. Na tych zaimprovizowanych scenach głos już nie łamie się z powodu tremy, muzyka nabiera werwy, ostrości, tym bardziej, gdy muzycy widzą podrygującą, niekiedy tańczącą, a nawet śpiewającą razem z nimi publiczność. Ulubionym miejscem tych nieoficjalnych występów są okolice „Esterki” i jej wnętrza, w którym — podczas przerwy w wykonywaniu utworów — muzycy raczą się piwkiem, które bardzo pomaga im w żywiołowych, pełnych ognia występach.

Ale nie tylko muzykę ludową słychać w Kazimierzu. W podcieniach przy ul. Lubelskiej usadowiło się dwóch młodzieńców, dając kameralny koncert na flet poprzeczny i gitarę. Są to członkowie grupy teatralnej z Tarnobrzega, którzy przybyli na festiwal ze spektaklem opartym na obrzędzie żydowskim, kadisz. To samo miejsce upatrzyły sobie kobiety, z zespołu śpiewaczego, które tak się rozśpiewały na estradzie, że zapragnęły

kontynuować występ. Dwóch świetnych muzyków musiało ustąpić kilku-nastoosobowemu zespołowi. Festiwalowe występy nie przeszkadzały również młodemu człowiekowi, który na rynku z cicha pobrzękiwał na gitarze, nic nie robiąc sobie z ludową muzyką.

Chodzę i słucham, zadając sobie pytanie: co tych ludzi tu ciągnie? Dla festiwalowych uczestników przyjazd do Kazimierza jest wspaniałą wycieczką, oderwaniem się od prac polowych, daje możliwość poznania świata, ludzi, no i pogrania sobie. „Teraz na wesela czy chrzciny na wsi zaprasza się »elektryczne zespoły« — mówi ludowi artyści. Dlatego częściej grają i śpiewają w miastach, a takie imprezy jak ta, pozwalają nagrać i naspiewać się do syta. No, i oczywiście zaprezentować się innym. Są jeszcze nagrody. Ale dla wielu uczestników to sprawa najmniej ważna. „Pani — mówi Józef Góra z województwa tarnobrzesckiego, skrzypek, który gra na festiwalu prawie bez przerwy i nie ma jeszcze dosyć — żona jak pójdzie do lasu na jagody, to w jeden dzień może zarobić ze 150 tysięcy. Zresztą ja tutaj wydarn więcej chyba, niż ta cała nagroda. Ja tu przyjechałem sobie pograć”. A najlepsze granie odbywa się w miejscach ich zakwaterowania. Swojska atmosfera i taka sama wódeczka służą nawiązywaniu kontaktów, i wspólnemu graniu do samego rana.

**W**IECZOREM tłumy słuchających znacznie maleją. Jedni wracają do swoich zajęć, inni, którzy przybyli tu z wycieczkami, już wyjechali. Na rynku robi się bardziej przestronnie. Siąpiący pierwszego dnia deszczu nikomu nie przeszkadza. Zresztą i na pogodę organizatorzy znaleźli stare, wypróbowany sposób. Kapelusze i zrzutka zrobiły swoje i kolejny dzień był już znowu pełen słoneczka.

Zmienili się widzowie i atmosfera. Festiwal szedł jakby na plan dalszy. Był pretekstem i tłem dla spotkań i rozmów zebranych na rynku widzów.

Na rynku pojawiła się także znaczna liczba pijanych. Widocznie i na nich również podziałała festiwalowa atmosfera, skoro ich pijackie śpiewy wykonywane były na ludową nutę. Niektórzy próbowali nawet zaprosić do tańca stansze kobiety ubrane w stroje ludowe, które jednak uciekały przed natrętami. Tańczymy więc...

Aby ludowe muzykowanie nie zanikło, organizuje się specjalne konkursy mistrzów i uczniów. Kazimierski nosi nazwę „Duży — mały”. Stremowani młodzi adepci, trochę naburmuszeni, siedzą na ławkach, czekając na swoją kolej. Mówią, że granie nie przeszkadza im w kopaniu piłki.

Festiwalowi towarzyszy wiele imprez. Odbywają się obrzędowe przedstawienia, opowiada się gawędy ludowe, odbywają się pokazy tradycyjnego tańca ludowego. Dla młodych organizuje się imprezę, w czasie której fachowcy robią instrumenty ludowe. Dla wszystkich jest ognisko, prawdziwa zabawa ludowa i kolorowy korowod uczestników na zakończenie.

Kończy się festiwal. Komisja naradza się nad werdyktem, kto w tym roku otrzyma główną nagrodę, a kto nie. Ale czy to jest najważniejsze?



Tekst: Violetta Krasnowska  
Zdjęcia: Waldemar Stępien

## „Z chłopów zrobiono kompleks żywnościowy”

**D**OTYCHCZASOWA formuła istnienia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego bardzo dotkliwie doskwierała samodzielnie myślącym członkom i działaczom tego stronnictwa, toteż przy nadarzającej się obecnie okazji, jaką jest rozluźnianie się stalowego gorsetu „koalicji”, pragną zapoczątkować coś, co nazywają odrodzeniem ruchu ludowego.

W kwietniu bieżącego roku powołali w tym celu w Warszawie Ogólnopolski Społeczny Komitet Odrodzenia Ruchu Ludowego. Znaleźli się w nim działacze ZSL, byłego i powstającego obecnie PSL, dawni „wielowcy”, weterani Batalionów Chłopskich, babcie z

rzędzie Kontroli Prasy, posłanka A. Chorążyna pokazała zebranym 262 numer „Gazety Ludowej”: po ingerencjach cenzury pozostała tam ledwo czwarta część tekstów. (Obecnie sędziwa działaczka ludowa zapowiedziała, że wraca do kraju, aby wesprzeć odradzający się ruch ludowy).

Potem zaczęły się skrytobójcze mordy i więzienia, oraz zawieszenie działalności powiatowych organizacji PSL. W grudniu 1945 roku został zamordowany Bolesław Scibiorek, sekretarz ZG „Wici” i członek Krajowej Rady Narodowej, zastępca sekretarza generalnego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wstrząsające wrażenie wy-

nia! Jeden z działaczy średniego szczebla oraz średniego wieku zaryzykował tezę, że ZSL właściwie to nie ma się czego wstydzić. Na to wstała sędziwa działaczka ruchu ludowego Helena Zacharczukowa i ostudziła młokosa stwierdzeniem, że ZSL jednak ma się czego wstydzić, bo przysporzyło chłopom wielu upokorzeń, a krajowi biedy.

Co do biedy, to nieco innego zdania jest prezes NK ZSL Malinowski. Niemal w tym samym czasie wystąpił w lubelskiej „Panoramie” telewizyjnej i na pytanie dziennikarza, na ile ZSL czuje się odpowiedzialne za kryzys żywnościowy w Polsce, odparł: na

wątpliwie należy nazwać komitetami założycielskimi przyszłej partii chłopskiej. Cztery miesiące dziełi chłopów od zjazdu założycielskiego, planowanego na listopad przez działaczy „Solidarności Wiejskiej”. Czy zasiądą tam wszyscy, którym marzy się wielka chłopska partia nawiązująca do agraryzmu Polskiego Stronnictwa Ludowego rozbitego siłą?

Odpowiedź twierdząca wcale nie jest tak pewna. Zanim dojdzie do gwiazdzonego zlotu ludowców wszystkich żyjących pokoleń i orientacji, musi chyba wyjaśnić sprawę dalszego bytu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Wygląda na to, że jego liderzy nie mają nic przeciw temu, aby nazwać się Polskim Stronnictwem Ludowym i pozostać w wielkim nowoczesnym gmachu przy placu Grzybowskim w Warszawie. Ale czy zgodzą się na to ludowcy opaleni na brąz? Bardzo wątpliwe.

W odezwie wydanej do uczestników lubelskiego spotkania czytamy: „Gorąco popieramy inicjatywę zwołania Kongresu Ruchu Ludowego, jako wyrazu jedności wszystkich ludowców, wola których ZSL przekształcone zostanie w nowoczesną, w pełni samodzielną partię polityczną”.

Rolnicy tymczasem doskonale znają i pamiętają wypróbowaną technikę „przekształceń”, tych przeróżnych odnowicielskich piruetów na nowych etapach marszu ku socjalistycznej przyszłości polskiej wsi i kraju. Można przypuszczać, że woli, aby ten walący się mur, jak go nazywał w przenośni poseł Janusz Rożek, legł w gruzy, a on potem na tym miejscu postawił coś nowego.

Najgorszym dla polskiej wsi scenariuszem byłyby chyba dwa kongresy odnowielskie, po nich dwie partie chłopskie, bo po jakimś czasie znów zagroziłby im jakiś święty pamięci kongres zjednoczeniowy. Nie ma chyba miejsca dla dwóch partii na wsi polskiej. Dla obydwu zabraknie tych milionów członków, zderzą się programami, a może i nazwami, bo — jak na razie — wszystkim podoba się zarówno agraryzm, jak i martyrologia powojennego PSL.

Ale nie zabraknie i takich, którym bardzo odpowiada dualizm zwany pluralizmem. W życiu społeczno-politycznym kraju mamy już obecnie chwalebne tego przykłady: dwa wrocie związkowe zawodowe, jeden drugiemu blokujące pomysły ozdowień, a dalej — dwie organizacje dzielnikarskie, dwie literackie. Nowo powstałe duplikaty swych poprzedników wzajemnie oskarżają się o zwyczajną kradzież dawnego związkowego majątku, a na dalszą przyszłość okopują się statutowymi murami.

Majątek ZSL jest nieporównanie ważniejszy, cenniejszy — owe tysiące etatów, lokale w terenie, oraz wspólnie centrum przy placu Grzybowskim z własnym wydawnictwem, czasopismami, itd. Nowa partia chłopska, powstała za murami tej fortecy chyba tego nie ścierpi. Toteż rozsądna, demokratyczna wydaje się strategia „Solidarności” Rolników Indywidualnych wyrażona na tym spotkaniu przez Janusza Rożka: zaznajmy demokrację, od razu. Wybierzmy w gminach i województwach delegatów na zjazd założycielski, a ten niech równie demokratycznie urodzi nową partię chłopską. Ani słowem nie wspomnieliśmy o tym, jak on widzi dalszy los ZSL. Wspomnieliśmy co prawda o walącym się murze, lecz nie mogliśmy jako gość zeteselowski organizatorów spotkania doradzić, by zebrani oparli się ramieniem o ten mur...

Jaka więc partia chłopska? To proste: chłopska. Ba! Łatwo przejąć sztyld PSL, któremu właśnie stukła sto lat. Podpisać się pod — jego agraryzmem. Trudniej będzie to przełożyć na realia współczesnej wsi polskiej. Jak na przykład oderwać się od zakorzenionych szablonów marksistowskiej, czyli koniecznej klasowej wizji partii? Czy mieszczuch, który na wsi bywa tylko na wczasach, może należeć do partii chłopskiej, jeśli jej program będzie mu odpowiadał? Czy PZPR była partią robotników? Czy SD ma być tylko partią przywaciarzy?

To wszystko się wyjaśni. Kiedy? Po zniwach, zapewniają optymiści.

Ale po których zniwach?

## JAKA PARTIA CHŁOPSKA ?

Henryk Pająk

Ludowego Związku Kobiet, działacze byłego ZMW mniej niż inni obciążeni przeszłością, a także niektórzy członkowie „Solidarności” Rolników Indywidualnych.

W tym miejscu trzeba zauważyć, że podobne inicjatywy zmierzające nie tyle do odrodzenia, co raczej do stworzenia od podstaw niezależnego ruchu ludowego, już od dwóch lat wychodziły od działaczy opozycji. Jakże były szanse spełnienia tych pomysłów wtedy, przed rokiem czy dwoma — wiadomo. W każdym razie aktywności chłopscy spod znaku „Solidarności” Rolników zapowiadają zorganizowanie w listopadzie bieżącego roku kongresu, czy skromniej — zjazdu założycielskiego partii chłopskiej. Obecnie podobną inicjatywę wychodzi z kręgów zeteselowskich. Czy obie dogadają się ze sobą? Czy spotkają się tam, na wspólnym kongresie?

Zeteselowski „teren” także nie chce być gorszy, zostać w dolkach startowych i nie zabrać się do tego pociągu. Trochę późno, bo dopiero po trzech miesiącach od powołania komitetu warszawskiego, odbyło się w Lublinie (28 VI) spotkanie rolników i działaczy ludowych skrzykniętych wedle podobnego klucza, z jakiego wykonał się wspomniany Ogólnopolski Społeczny Komitet Odrodzenia Ruchu Ludowego. Odbyła się ta impreza w auli Rektoratu UMCS.

Aula rozległa, amfiteatralna, nad przędzielnym pulpitem portret Witosa, dołem suto marszczące zielone sukno spięte listkiem koniczyzny. Na tym ludowym tle odbyły się wielogodzinne rekolekcje z politycznej przeszłości ruchu ludowego, a zwłaszcza Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, powstałego w wyniku zjednoczenia czy raczej kastracji — jak to nazwał jeden z dyskutantów — Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Stronnictwa Ludowego.

Słowo „kastracja” zabrzmiało mocno dla tych, którzy nie znają realiów powojennych akcji „zjednoczeniowych” przeróżnych partii politycznych, ale za słabo dla tych, którzy co nieco wiedzą na ten temat. Bo owo zjednoczenie organizacji chłopskich było zwyczajną zbrodnią polityczną dokonaną w majestacie rodzącej się ludowej władzy. Zaczęło się to zaraz po wojnie od niszczenia prasy ludowej, a zakończyło fizycznym unicestwieniem działaczy. Gdy powstała 6 grudnia 1945 roku „Gazeta Ludowa” osiągnęła 200 tysięcy nakładu, zaczęły się szkany i ograniczenie nakładu do 60 tysięcy. To samo działo się z innymi periodykami PSL: „Chłopskim Sztandarem”, „Piastem”, „Polską Ludową”, „Chłopskim Światem”, „Przebudową”, „Wsią i Państwem”. Do akcji weszła cenzura. Były numery, z których zdejmowała 3/4 tekstów. Na sejsji Krajowej Rady Narodowej we wrześniu 1947 roku, kiedy dyskutowano o powstałym U-

wołał skrytobójczy mord na Władysławie Kojderze, przywódcy ludowym z Małopolski, działaczu PSL. Porwany 17 września 1945 r. przepadł bez śladu. Ciało znaleziono 31 maja następnego roku. Pogrzeb zgromadził 25 tysięcy osób. Na czas pamiętnego referendum masowo zamykano ludowców. Potem ucieczką z kraju ratował życie Stanisław Mikołajczyk. Jego żona zginęła przekraczając granicę czeska.

**C**O młodzi chłopci wiedzą o okolicznościach „zjednoczenia” ruchu ludowego i powstania stronnictwa, do którego należą? Co wiedzą o PSL, do którego nawiązują obecnie inicjatywy odrodzeniowe?

Kilku starych działaczy, miast radzić nad terażniejszością, wdalo się w rozpamiętywanie swych cierpień. W. Wylupek, uczestnik chłopskich bitew na Zamojszczyźnie, nie bacząc na zniecierpliwienie sali, nakreślił swoją drogę krzyżową przez więzienia UB i późniejsze szkany w pracy: po upadku bierytyzmu zmieniło się o tyle, że jego prześladowca z Tomaszowa Lubelskiego awansował na szefa UB w Zamościu. Ktoś inny opowiadał, jak pełniąc funkcję sekretarza zespołu organizacyjnego ZSL w dzielnicy Praga-Południe w stolicy, po Październiku zaczął upominać się o partię chłopską, to „Gomulka i Burda wydali na niego nakaz aresztowania, ale ostrzeżony, uciekł w kradzieżki”. Doc. T. Barszok z SGGW: „Z chłopów zrobiono kompleks żywnościowy”. Dr A. Krawczyk: „ZSL było od potępiania Episkopatu, syjonistów i wszelkich protestów. Sam Guwca powiedział w »Zielonym Sztandarze«, że o ZSL decydowano w wydziale organizacyjnym KC PZPR”.

Zale i martyrologia jednak nie zdominowały obrad w auli UMCS. Raz po raz pytano, jak zorganizować prawdziwą partię. Poseł „Solidarności” Janusz Rożek na wstępie oznajmił z przekąsem, że teraz, jak się mur wali, to wielu chce go pechać, ale jeszcze parę lat temu nie było chętnych. A narodziny partii chłopskiej widzi oddoknie. Niech chłopcy w gminach i województwach montują ciała założycielskie, a dopiero potem — kongres. Intencja takiej kolejności jest oczywista: żywił chłopski niech sam wykreuje swoich nowych działaczy.

A w ogóle dawał się widzieć podział auli na chłopską i „działaczową”. Kryteria były proste, widoczne gołym okiem: ogorzałe twarze, słowa i myśli twardo wyrąbywane, a z drugiej uczona, wypróbowana w wieloletnich bojach konfliktów słów. Ktoś tam wspomnieli o potrzebie ekspiacji. „Co to jest ekspiacja?” — dopytywali się ci opaleni na brąz. Pytanie szepaną pocztą dotarło do prezydium. Wyjaśnicie. Jedni mówili o ekspiacji, o chłopskim etosie i agraryzmie, a drudzy, cholera panie, domagali się natychmiastowego działania, a nie gada-

tyłe, na ile rządziło. Dał więc do zrozumienia, że rządziło niewiele lubnic. Ale skoro tak, to dlaczego tak uparcie udawało, że współpracują?

Wstał młodziutki inteligent i oskarżył prowadzących zebranie o manipulację. On zgłosił się jako jeden z pierwszych, a mija trzecia godzina gadania i jego nie dopuszczają. Dopuszczono natychmiast. Poinformował, że właśnie pokłócił się z kolegami z lubelskiej KPN, więc zakłada własną partię. Będzie to partia republikańska. Zgłasza gotowość pomocy i współpracy z chłopską. Radzi założyć nową chłopską partię, a ZSL niech zakłada swoją. Prowadzący zebranie, oskarżony o manipulację Stanisław Boguta, podziękował grzecznie za rady, a ktoś na boku zarzążył, że chłopak niech najprzód dokończy studia, a potem zakłada partię i doradza chłopom co mają robić.

Podderwał się jakiś rolnik opalony na brąz i zażądał partii czysto chłopskiej, bez żadnych tam inteligentów. Obecni na sali liczni profesorowie, docenci i magistrowie spojrzeli na Stanisława Bogutę z urazą w głosie przypomnieli, że partia chłopska nie będzie jakimś gettem, idzie szerokim frontem bez dyskryminowania ludzi wykształconych. Profesura odzyskała humor, po czym prezydium zaproponowało składkę pieniężną. „Na co?” — zakrzyknęli tyły. Pan Boguta wyjaśnił: działamy społecznie — listy, znaczki, zaproszenia i ulotki kosztują. I dodał dość niedyskretnie, przesadzając zresztą, że pani Zacharczukowa już wyasygnowała dwa tysiące złotych. Aula zgodziła się z potrzebą posiadania funduszu przez komitet założycielski, więc puszczono w obiegu jakąś dygnitarską aktówkę. Piszący te słowa, starając się maksymalnie uwidocznić nominal swego banknotu, z wolna włożył tam pięćset złotych, co stanowi wydatek dość znaczny, ale nie przesadny, zważywszy podniosłość celu oraz skalę dewaluacji złotówki.

**P**RZYSTAPIONO do zgłaszania kandydatów do regionalnego Społecznego Komitetu Odrodzenia Ruchu Ludowego. Okazało się, że na sali znajdują się przedstawiciele ościennych województw, m. in. rolnicy z Tarnobrzegskiego. Tych ostatnich było dwóch, lecz nie było jakich: organizatorów niedawnego, bezprecedensowego w skali kraju i całego czterdziestolecia PRL, gminnego referendum w Gościeradowie. Zorganizowali je — wbrew oburzeniu i pogroźkom władz wojewódzkich w Tarnobrzegu — na dwa bojące tam wszystkich tematy: czy chęć elektrowni atomowej w gminie Gościeradow i czy opowiadasz się za rozwojem energetyki jądrowej w Polsce? Na 5400 uprawnionych przyszło głosować 90 proc., prawie tyle samo powiedziało „nie” elektrowni w gminie oraz energetyce jądrowej w Polsce!

Powstają więc społeczne komitety odrodzenia ruchu ludowego, które nie-

## LISTY

## JESZCZE RAZ O SKROBOWIE

Zbigniew Gnat - Wieteska

**W** OKRESIE dwóch miesięcy od ukazania się w „Relacjach” artykułu o Skrobowie otrzymałem dwie interesujące korespondencje na poruszony w nim temat. Zamieszkały w Stanach Zjednoczonych prof. Jerzy Roman Krzyżanowski, pisarz, krytyk, eseista, wykładowca slawistyki i literatury polskiej na Uniwersytecie w Columbus, w stanie Ohio, oraz były jeńiec Skrobowa pisał m. in. „Cieszę się, że temat ten wreszcie, po tylu latach, został poruszony i podany do publicznej wiadomości. Gratuluję dokładności i obiektywnego przekazania faktów”. Do listów załączone były wspomnienia Profesora, jedno pt. „27 marca” drukowane w pracy zbiorowej „Konkurs im. Józefa Wyrwy” (Londyn 1977 r.) oraz drugie pt. „Ostatni etap: Stalinogorsk” zamieszczone w „Zeszytach Historycznych” nr 70 (Paryż 1984 r.) nawiązujące marginesowo do wydarzeń w dniu 27 marca 1945 roku w Skrobowie.

Sylwetkę Profesora przybliżył czytelnikom „Relacji” redaktor Mirosław Derecki w artykule „Partyzant od Szarugi” („Relacje” nr 17/89). Brak w nim jednak jakiegokolwiek wzmianki o pobycie ówczesnego ppor. J. R. Krzyżanowskiego w Skrobowie. Dostał się on tam w ramach aresztowań AK-owców — żołnierzy i oficerów Wojska Polskiego — w listopadzie 1944 r. W opisanej przeze mnie ucieczce nie uczestniczył. Jak wspomina prof. Krzyżanowski „Przez pierwsze tygodnie kwietnia zjeżdżały do Skrobowa liczne komisje, starając się wybadać oficerów na temat marcowej ucieczki, wyjeżdżały jednak z niozym, napotykając uparte milczenie i dobrze udaną niewiedzę. 20 kwietnia jednej z takich komisji przewodził



Ppor. Piotr Mierzwiński — „Wilk”, „Wierny” (z prawej).

Fot. Archiwum

Radkiewicz, otoczony grupą oficerów, otwarcie tym razem noszących mundury NKWD, ograniczył się jednak do szybkiego przejścia przez sale, czasem tylko pytając po rosyjsku czy »choroszo was poili, kormili«, ale nie czekając na odpowiedź tych nielicznych, którzy gotowi byli wdać się w rozmowę z ogólnie znanym szefem UB”. Następnego dnia, 21 kwietnia 1945 r. NKWD opróżniło obóz, a około 400 oficerów, podchorążych i podoficerów, w tym ppor. J. R. Krzyżanowskiego wywieziono przez Lubartów, Białą Podlasę w głąb Związku Radzieckiego. Po siedmiu dniach podróży w bardzo złych warunkach transport dotarł na

stację Użłowaja, leżącą około 50 km na południowy wschód od Tuli, w pobliżu miasta Stalinogorsk. Wyladowanych jeńców doprowadzono pod silnym konwojem do obozu przejściowego nr 12 leżącego w północnej, przemysłowej dzielnicy Stalinogorska. W dniu 18 maja przeniesiono ich do leżącego ok. 10 km na zachód od miasta obozu nr 32 w miejscowości Dubowka, a następnie 1 września do obozu nr 23 we wschodniej części Stalinogorska. W czerwcu 1946 r. J. R. Krzyżanowski przeniesiony został w grupie około 50 ludzi do Riazania, skąd dopiero w lecie 1947 r. wrócił do kraju. Starszymi obozów w Stalinogorsku byli: mjr Kazimierz Kawecki „człowiek wielkiej prawości, energii i odwagi cywilnej”, ppor. Stefan Palecki, „delikatny i mało stanowczy, nie mający wśród jeńców takiego autorytetu, jakim cieszył się jego poprzednik” i mjr Edward Fiet, „należący do grupy starszych oficerów nastawionych kompromisowo i starających się unikać najmniejszych konfliktów z Rosjanami”. O ich dalszych losach pisze Tadeusz Kowalski w artykule „Proces Mościckiego i innych” (Odrodzenie nr 46, 12 XI 1988 r., s. 13).

W swoich wspomnieniach prof. J. R. Krzyżanowski wyjaśnia dlaczego oficerowie nie przyłączyli się do buntu. Pisze na ten temat: „Wydaje się, że zasadniczą rolę w decyzji pozostania na bloku odegrał cieszący się największym autorytetem moralnym mjr dr Franciszek Amałowicz, w okresie okupacji komendant Obwodu Rembertów AK. Był on jednym z kilkunastu oficerów sztabowych więzionych w Skrobowie, podczas gdy większość stanowili kapitanowie, porucznicy i podporucznicy, rekrutujący się z najrozmaitszych środowisk, od Wołyniaków i Podolaków zmobilizowanych wiosną 1944 roku do I Armii, poprzez b. oficerów AK z Lubelszczyzny, aż po powstańców warszawskich, którzy przekroczyli Wisłę próbując nawiązać kontakt z oddziałami Berlinga, jak np. rtm. Zawistowski i por. Majcherczyk. W środowisku tak bardzo zróżnicowanym i w wielu wypadkach niewiele mającym wspólnego z AK, autorytet moralny liczył się bardziej, niż niejednokrotnie niezaskluzone, czy zgoła niesprawdzone stopnie oficerskie, toteż decyzja Amałowicza, ażeby nie brać udziału w ucieczce, w której spodziewał się zwykłej sowieckiej prowokacji, mającej na celu wystrzelanie uwięzionych, została przyjęta jak rozkaz”. („Ostatni etap: Stalinogorsk” s. 144—145).

W drugim swoim wspomnieniu („27 marca”), a pierwszym chronologicznie, prof. J. R. Krzyżanowski wraca także do tego tematu i pisze: „Dlaczego dwustu czy więcej oficerów AK, asów konspiracji, dywersji i partyzantki, ludzi, którzy tak jak Wania mieli za sobą zdobycie więzienia w Pińsku, czy tak jak Mały trzęśli kilkoma powiatami, nie zdobyło się na wyrwanie z tego śmietnika strzeżonego przez batalion szczeniaków w szarych szynelach? Byli wśród nas i tacy, co jak Mokotówiak przepłynęli pod niemieckim ogniem Wisłę aby biegać was o pomoc dla ginącej Warszawy, był Gryf, który z rozbitkami 27 Wołyńskiej Dywizji przebił się przez waszą ogniową nawalę w nadziei wspólnej przeciw Niemcom walki... Ach, długo by trzeba mówić. Ale pan chce tylko wiedzieć dlaczego pozwoliliśmy aby jeden kaprawy grubas z Naganem w ręku trzymał tę gromadę bohaterów w zamknięciu, podczas gdy na dworze przez trzy godziny trwała walka? Dlatego, że udało wam się nas wtedy złamać. Zerwać tę wzajemną więź zaufania, która pozwoliła nam przez pięć lat otwarcie i z podziemia walczyć z Niemcami. Z wrogiem w obcym mundurze, nie kryjącym się za frazesami braterstwa i przyjaźni. Wtedy, kiedy linia podziału była na zewnątrz społeczeństwa, a nie w nas. Och, niech mi pan nie opowiada o peperowcach i aelowcach, napatrzyłem się ich na Lubelszczyźnie, to były grupki, które się po prostu nie liczyły przy setkach tysięcy ludzi z AK i BCh. Ale wam udało się wtedy rozbić nas psychicznie, od wewnątrz, uspić i zabić naszą wolę walki... zameldowałem starszym oficerom o zamiarze ucieczki. Prowokacja, powiedzieli. Nie dać się wciągnąć, wiecie na co ich stać, mówili. Pamiętając o Katyniu, straszili”. (s. 49, 51).

Jak już wspominałem w swoim artykule o Skrobowie dowódcą uciekinierów był Piotr Mierzwiński, żołnierz Okręgu Polesie AK. Załączam jego zdjęcie z okresu konspiracji na Polesiu.

Ukraińcy odnawiają grobowiec gen. Dwernickiego



## POMNIK

**J**ÓZEF Dwernicki, dowódca kawalerii w powstaniu listopadowym, zmarł 22 XI 1857 roku w Łopatyni (okręg lwowski). Wystawiono mu wtedy okazały pomnik, który dziś jest niestety zniszczony i zaniedbany. Nie to jednak dziwi — wszak podobny lub gorszy los spotkał większość pomników polskości znajdujących się na terenach Związku Radzieckiego. Dziwi zainteresowanie — spontaniczne, nie wymuszone, pełne zaangażowania zainteresowanie ludzi żyjących na Ukrainie postacią generała Dwernickiego. Dlaczego?

Michał Rudiuk z Nowowołyńska, choć z wykształcenia jest historykiem, od lat pracuje w branży cementowej. Często bywa służbowo w Chełmie. Podczas jednej z takich wizyt poprosił swoich polskich znajomych o pomoc w zebraniu możliwych informacji o Józefie Dwernickim. Zwierzył się też z zamiaru odnowienia jego nagrobka. Zaskoczenie ze strony polskiej było ogromne. Co oni „knują”? Po co chcą odnawiać grób polskiego generała?

— Skąd pańskie zainteresowanie Dwernickim? — pytam Michała Rudiuka.

— Postać tę odkrył dla mnie doc. Kuliński z Instytutu w Łucku. On i jego córka interesują się Dwernickim od dawna. Mnie też to wciągnęło. Postanowiliśmy wspólnie doprowadzić pomnik generała do wyglądu pierwotnego. Chcemy poprawić napisy, uzupełnić wszelkie ubytki i ponaprawiać uszkodzenia. Mamy nadzieję, że do 22 lipca (wasze święto narodowe) zabytek będzie odrestaurowany. Brakuje nam tylko informacji. Interesuje nas wszystko, co dotyczy generała — może istnieją jakieś nieznane nam szczegóły jego biografii, może zachowały się fotografie a może nawet żyje w Polsce ktoś z jego rodziny?

— Rozumiem, że pomysł jest wasz. A środki na jego realizację?

— Robimy to z własnej woli, bez niczyich podszeptów, na własną odpowiedzialność i własny koszt. Postać generała budzi w nas ogromny szacunek. Dla zachowania jego pamięci koszty nie są istotne. To był przecież wspaniały człowiek, zrobił tak wiele nie tylko dla Was, również dla nas — dla Ukrainy. Walczył „za wolność naszą i waszą”.

Maria Magdziarz



# POLEMIKI: O NIE-POLSKIEJ NORMIE

Tadeusz Kwiatkowski

W CZTERNASTYM numerze tygodnika „Relacje” zamieściłem tekst pt. „Nie-polska norma polskiego patriotyzmu” wyrażający — adresowany do Redakcji — mój protest przeciwko publikowaniu takich treści, jakie zawiera artykuł Waldemara Piaseckiego pt. „Ostatnia panorama Rzeczypospolitej” opublikowany w piątym numerze tego tygodnika. Reakcja autora „Ostatniej panoramy Rzeczypospolitej” była natychmiastowa. Jego replika pt. „Polska norma według Kwiatkowskiego” ukazała się bowiem już w następnym, piętnastym numerze „Relacji”. Zarówno z treści, jak i formy tego tekstu akceptuję tylko jedno: jego tytuł.

Replika składa się oczywiście z długiego szeregu zarzutów, które dadzą się podzielić według następujących tematów: 1. Nieuczciwe manipulowanie refleksją p. Piaseckiego; 2. Ignorancja w zakresie historii i tendencyjne interpretowanie faktów; 3. Infantylna fantastyka w myśleniu politycznym oraz 4. Poglądy, które — „wydawać by się mogło” — „należą do wstydlivej przeszłości” (zwroty w cudzysłowach zaczerpnięte z repliki p. Piaseckiego).

1. W pierwszej grupie znajduje się między innymi zarzut następujący: „Kwiatkowskiemu »myli« się felieton z artykułem”. Przytoczony cytat zawiera rzeczywiście bzdury, lecz ich autorem jest p. Piasecki. Po pierwsze nie mylił mi się felieton z artykułem, ponieważ termin „artykuł” jest zakresowo nadrzędny względem terminu „felieton”, czyli mam prawo nazywać felieton artykułem (por. „Słownik terminów literackich”, wyd. II, Ossolineum, 1988, s. 44 hasło „Artykuł”); po drugie, nie mylił mi się tytuł z nadtytułem — co także zarzuca mi p. Piasecki — i nie uznaję, że nadtytuł „Polska Norma” wymyślił p. Piasecki dla artykułu, który jest przedmiotem mojego protestu. Reszta wyjaśnień zawiera się w adresie.

Panie Redaktorze! Zgodził się pan zapewne ze mną, że nadtytuł posiada zawsze odniesienia semantyczne do treści tekstu pod nim zamieszczonego, czyli formuła nadtytułu nie jest znaczeniowo neutralna. Twierdząc, że „Polska Norma” jest złym nadtytułem.

ponieważ w zestawieniu z treścią felietonów, które p. Piasecki pod nim zamieszczał, bądź nabiera sensu ironicznego i obraza uczucia Polaków, bądź wprowadza do treści tekstu fałszującą sugestię i też obraza Polaków. Pierwszy przypadek dotyczy np. felietonów „Ostatnia panorama Rzeczypospolitej” i „Mój program atomowy”; drugi przypadek jest reprezentowany przez artykuł „Czy Anders był Polakiem?”. Nadtytuł „Polska Norma” sugeruje w tym przypadku, co jest fałszem, że postawiła, którą artykuł krytykuje, była przez Polaków (idzie oczywiście o Naród Polski) akceptowana lub — przynajmniej — zawiniona. A przecież była to norma Polakom narzucona. Była to norma w Polsce, nie zaś norma polska. Przecież haniebna uchwała Rady Ministrów z 22 września 1946 r., odbierająca obywatelstwo na emigracji polskie obywatelstwo, nigdy nie odpowiadała i odpowiadać nie mogła intencjom Narodu. Polacy nigdy nie odmawiali czci i szacunku wymienionym w omawianym felietonie generalom, ani innym polskim oficerom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Ja nie twierdzę, że ta fałszująca sugestia jest w tym przypadku przez autora zamierzona, ale ona istnieje.

Jeden zarzut z tej grupy jest szczególnie wymowny, dlatego zatrzymam się nad nim nieco dłużej. Otóż po oburzeniach na to, że wzywam mu poglądy wycozane między wierszami — zamiast czytać tam, „gdzie odcisnęła się farba drukarska” — takie jak: Piasecki uważa bitwę pod Kockiem za mało znaczący epizod oraz po narzekaniach takich jak to, że stwierdzam analogię między bitwą pod Kockiem a bitwą pod Racławicami, a nie wyjaśniam na czym ta analogia polega, p. Piasecki pisze: „I dalej następuje referat tego, co autor o bitwie kockiej przeczytał, utrzymany w tonie dramatycznym. Ten patos ma uzasadniać, jakim to patriotą Kwiatkowski jest, a ja niestety, nie. Zabię ten obliczony jest na odwrócenie uwagi Czytelnika od istoty felietonu, czyli od sensowności budowania Panoramy Kockiej (co do którego notabene sama ma wątpliwości), a skierowanie owej uwagi w rejon emocjonalny, gdzie manipulowanie pojęciami: honor, ojczyzna, patriotyzm (dla wzmocnienia efektu u Kwiatkowskiego z dużych liter) może przynieść oczekiwany prze-

zeń skutek: zdyskredytowanie publikacji i jej autora”. Najpierw uwaga: wspomniane w pierwszym nawiasie tego cytatu moje wątpliwości dotyczyły formy projektowanego pomnika, a nie jego rangi. Uważam bowiem, jak to mocno podkreślałem w moim poprzednim wystąpieniu, że bitwa pod Kockiem niesie przesłania (zwłaszcza moralne) równie doniosłe, jak te, których wyrazem jest Panorama Racławicka.

Wróćmy jednak do „istoty” przytoczonego fragmentu wypowiedzi p. Piaseckiego. A zatem: okazuje się, że to, co napisałem o postawie polskich żołnierzy biorących udział w naszej wojnie obronnej 1939 r., dla której modelem wzorcem była bitwa pod Kockiem, nie było wyrazem mojego patriotyzmu, szacunku i czci dla polskich bohaterów zmagających się w 1939 r., lecz nieszczerą, sztucznie patetyczną grą, socjotechniczną manipulacją emocjami Czytelników, działaniem zmierzającym jedynie do zdyskredytowania p. Piaseckiego i jego artykułu. A czy p. Piasecki jest w ogóle zdolny uwierzyć w istnienie szczerzej patriotycznej postawy? Jedno jest pewne: nie potrafi zrozumieć, a tym bardziej przyjąć polskiej postawy patriotycznej, dlatego niech Polaków nie poucza w tym zakresie; jest bowiem złym mentorem! Dowodem tego jest — wyrażony w jego tekstach — stosunek do takich pojęć, jak Honor i Ojczyzna (duże litery są oczywiście moje!), które dla Polaków oznaczają wielkie imponowalności, a które p. Piasecki po prostu wyśmiewa.

Posłuchajmy jak harmonijnie współbrzmia zawierająca słowa „honor i ojczyzna” końcowa część przytoczonego wyżej fragmentu repliki p. Piaseckiego, z następującym fragmentem „Ostatniej panoramy...”: „Istnieje opinia [ciekawe, kto ją wymyślił i głosi? — TK], że Polakom bardzo przeszkadza w racjonalizowaniu ocen historycznych ich mania patriotyczno-wojennobogoojczyzniana. Ze skłonni są nawet najmniejsze sukcesy wynosić do rangi wielkich zwycięstw, a klęski minimalizować i opatrzyć zawsze jakimś »ales«. Przegrali nasi, ale potem przecież wygrali. Nieomal: gdyby nie przegrali, to by potem... nie wygrali. Pytanie: czy w ogóle musieli przegrywać? uważa się za zupełnie nie na

miejsu”. Nie sądzę, żeby ten cytat (i wyrażona w nim postawa) wymagał długiego komentarza. Jest to cyniczne mentorstwo ozdobione głupawymi żarcikami. O poziomie autora świadczy zwłaszcza to końcowe pytanie, które „uważa się za zupełnie nie na miejscu”. Czyż jest bowiem możliwe uniknięcie przegranej zawsze? Jest to oczywiście niemożliwa i to chyba w żadnej dziedzinie działalności ludzi i narodów, a przede wszystkim jest to niemożliwe w działaniach militarnych, które p. Piasecki ma tu (chyba!) na myśli! Czy jakikolwiek naród, lub jakikolwiek państwo może się poszczycić historią, w której nie ma przegranych bitew lub wojen? Czy może zagwarantować, że takie przegrane nie pojawią się w przyszłości? Gdy się podejmuje walkę, przegrana jest zawsze możliwa. Jest ona możliwa także wtedy, gdy się walki nie podejmuje, jak o tym świadczy tragedia Marine Nationale w Tulonie w 1942 r.

Uwaga o tragedii floty francuskiej przenosi moją refleksję do drugiej grupy zarzutów p. Piaseckiego. Przechodzę zatem do zarzucanej mi ignorancji historycznej.

2. Pierwszy zarzut tej grupy dotyczy mojego porównania postawy polskich żołnierzy w wojnie obronnej 1939 r., z postawą armii francuskiej reprezentowaną przez przykład samozatopienia się floty francuskiej w Tulonie 27 listopada 1942 r. Początek wywodów p. Piaseckiego na ten temat jest kontynuacją zarzutu poprzedniego. P. Piasecki uważa mianowicie, że to moje porównanie jest kolejnym przykładem zastosowania socjotechnicznej manipulacji uczuciami. Twierdzi, że zastosowałem do porównania „Dla wzmocnienia efektu patriotycznego, płynącego z opisu bohaterstwa walk wojny obronnej [...]”. A więc znowu nie chodziło mi rzekomo o ukazanie prawdy o etosie polskich żołnierzy tamtego czasu, lecz o wywołanie i potęgowanie patriotycznych reakcji emocjonalnych u Czytelników. Notabene jedno pociąga drugie.

Poznanie piękna etosu wojska polskiego w 1939 r., piękna rzetelnego i ofiarnego spełnienia obowiązku obrońcy Polski i jej Honoru nie może być emocjonalnie obojętne polskim pa-

## LISTY

Jestem od wielu pokoleń warszawiakiem i równocześnie szczęśliwym małżonkiem lublinianki. Ojciec mój, Marian Windyga, jako 16-letni chłopak wstąpił do I-go Korpusu Wschodniego gen. J. Dowbora-Muśnickiego. Po rozwiązaniu tego korpusu przez władze niemieckie wiosną 1918 r. nie udało mu się dostać do Murzańska, w celu ewakuowania się do armii gen. J. Hallera we Francji. Po wielu perypetiach — opiekując się matką i czwórka młodszego rodzeństwa — wraca z nimi do Warszawy. Od listopada 1918 r. w Wojsku Polskim. W maju 1920 r., mając dziewiętnaście lat, uczestnik defilady Wojska Polskiego w Kijowie. W sierpniu 1920 r. walczy „nad Wisłą i Wkrą” w V-ej armii gen. W. Sikorskiego.

W okresie międzywojennym dzieli radości i troski przeciętnego Polaka, m. in. na kilka lat musi opuścić Warszawę w poszukiwaniu pracy. Pracował m. in. w Krzemieńcu i Parczewie. Nigdy jednak nie miał o to pretensji do „burżuazyjno-obszarniczego” rządu polskiego.

Od jesieni 1939 r. w konspiracji. W strukturze Okręgu Warszawskiego AK oficer ds. bezpieczeństwa IV Rejonu i Obwodu (Śródmieście-Północ) i oczywiście uczestnik Powstania Warszawskiego.

Ten przydługi wstęp powinien wyjaśnić fakt mojego zainteresowania historią najnowszą już od dzieciństwa.

Tym większa cholera mnie bierze, gdy od czasu do czasu czytam w naszej arcyciekawej prasie pojedyncze listy emerytowanych ubeków. Taki list ukazał się na str. 13 pańskich „Relacji” (nr 14 z 20—26 IV 89 r.).

Pisze ów pan: „[...] banda Zapory”. „UB nie posiadało blach do sadzania na nich gołym tyłkiem”, opozycja sytuacji sprawę białych plam wykorzystując jako jeszcze jedną okazję konfrontacji z władzą i z ustrojem, a z kolei pomniejsza i przemilcza własne „białe plamy” tak oto: „każda władza nawet i Piłsudskiego, potrzebowała ofiar, i to dużo”.

Kuriozalne, w ówczesnym stylu żydobeckim, jest stwierdzenie imię Pana Towarzysza Ubowca, że „to, co pisze rzekomy żołnierz AK z bandy Zapory posługując się ps. »Jurek«, to poza przynależnością do tej bandy i więzieniem, nie ma się czym chwalić, chyba że działalnością morderstw [ostatnie sformułowanie, podobnie jak u funkcjonariusza UB występującego w III-im tomie »Kolumbów« R. Bratnego, potwierdza cechę tych Panów Towarzyszy: »jak komuś trzeba przypierdolić to i owszem, z pisaniem raczej trudno« — przyp. M. W.J. których dokonywali w czasie przynależności do tej organizacji”.

Nie pierwszy raz odpowiadam następująco na tego typu dyrdymalki: Hieronim Dekutowski ps. »Zapora“ po 1944 r. walczył o niepodległą Polskę, tak samo jak czynił to w latach 1939—1944!

Nieprawdą jest, że w Polsce lat 1944—1947 toczyła się wojna domowa w klasycznym tego słowa znaczeniu. Adekwatnym do terminu „wojna domowa” byłoby np. walki między polskimi narodowcami a polskimi ludowcami! I gdyby tak było, to kombatanaci obu tych stron powinni być traktowani równoprawnie, analogicznie jak pilsudczycy i antypilsudczycy, polegli w czasie zamachu stanu w maju 1926 r.

Wojna „domowa” lat 1944—1947 toczyła się między Polakami typu Hieronima Dekutowskiego „Zapora” a bandą Bieruta, „pozostającą na usługach ZSRR”.

Pan Towarzysz emerytowany ubowicz wstydzisz swojej prowiniencji (nazwisko i adres do wiadomości redakcji!) Wstydzili się i wstydzą, uprawianego przez tatusia (a czasami i przez mamusię) procederu dzieci tych osobników. Oni we wszelkich ankietach, gdzie rubryka „miejsce pracy rodziców” — pisali i piszą: „pracownik państwowy”, „funkcjonariusz państwowy”.

Rodzina „Zapora” ma prawo być dumna z Hieronima Dekutowskiego, walczącego z bandą Bieruta i rozstrzelanego przez tę bandę.

Marek Windyga, Warszawa

PS. Coś popieprzyło się Panu Towarzyszowi Ubowcowi w „temacie” geografii. Pisze tak: „W m. Borów w powiecie tarnobrzeskim banda ps. »Zapora“ wymordowała 30-tu ludzi podstępem z AL”. Nawiasem mówiąc, stylistyka tego zdania przypomina, jako żywo, treść anegdotycznej notatki milicyjnej: „Obywatel X zbił żonę z którą miał dzieci za pomocą sznurka”.

Wracam do geografii: na str. 95 książki „Dowództwo Główne GL i AL” (Wyd. MON, W-wa 1967) napisano jak wól — „Rozkaz Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej w sprawie wymordowania przez oddziały NSZ oddziału GL im. J. Kilińskiego pod wsią Borów (pow. Kraśnik)”.

M.W.

Przy lekturze Waszych bardzo wartościowych publikacji „rozliczeniowych” narzuca się refleksja — jak wiele podobieństwo łączy system stalinowski z faszystem, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób traktowania wrogów. Mniej istotną wydaje się różnica kogo zaliczono do wrogów, że w jednym przypadku chodziło o „wrogów klasowych”, a w drugim — „rasowych”. W przypadku zbrodniarzy epoki stalino-

# POLSKIEGO PATRIOTYZMU — CIĄG DALSZY

triotom. Nie ma przecież patriotyzmu bez uczuciowego zaangażowania (te słowa też są wyrazem emocjonalnego zaangażowania i nie ma dla mnie żadnego znaczenia to, że ktoś tego nie rozumie!). Patriotyzm to bowiem nie innego jak miłość ojczyzny, a miłość jest uczuciem. Patriotyzm jest oczywiście miłością inspirowaną rozumieniem wartości, którą jest Ojczyzna, angażującą do maksymalnie aktywnego uczestnictwa w budowaniu tej wartości oraz kreującą gotowość uczestnictwa w jej obronie do granic ostatnich, tj. do ofiary własnego życia. Oto w streszczeniu mój pogląd na istotę patriotyzmu i — tym samym — zwięzłe ujęcie mojego rozumienia polskiej normy polskiego patriotyzmu.

▲P. Piasecki oburza się bardzo na moją ocenę samozatopienia się floty w Tulonie: „Według Kwiatkowskiego, Francuzi posiadali pełną swobodę w dysponowaniu flotą i mogli jej użyć przeciwko Niemcom. Niestety, okazali się tchórzami, a nawet zbrodniarzami. A nieco dalej informuje, że w tym czasie ginęło w okupowanej Polsce (w samej tylko Polsce! — TK) trzy tysiące ludzi dziennie. Oczywiście takie zaślawienie informacji ma skierować negatywne emocje przeciwko Francuzom, zwłaszcza iż za chwilę dowiadujemy się, że „Armia Polska nie popełniała takich zbrodni”.

Sprawę „swobody dysponowania flotą” rozpatrzę po przedstawieniu p. Piaseckiego „wizji” tragedii tulońskiej. Obecnie zajmę się tylko zarzutem, że usiłowałem skierować negatywne emocje (tzn. co: nienawiść, pogardę?) przeciwko Francuzom. Złe się wyraziłem: to nie jest zarzut, to jest bezczelne, prymitywne, obrzydliwe oszczerstwo wyległe w głowie człowieka pozbawionego skrupułów moralnych. Francja, jej kultura i język zajmują w moim sercu bezwzględnie pierwsze miejsce po Polsce, jej kulturze i języku. Dlatego omawianą insynuację mojego tzw. oponenta odczytuje za wstrętem i nie ukrywam, że sorawia mi ona wielką przykreść. Zechciej Szanowny Czytelniku zauważyć, jaką perfidie wyraża użycie w przytoczonym cytacie słowa „Francuzi”. Ja tego słowa nie użyłem, i tym samym zdanie: „Francuzi okazali się tchórzami, a nawet zbrodniarzami” nie jest moje. Moje zdanie brzmi dosłownie: „Ta samozagłada floty francuskiej była nie tylko aktem tchórzostwa, lecz także — i przede wszystkim — zbro-

dnia wobec narodów okupowanych przez Hitlera i prowadzących z nim wojnę”. Ja nie krytykowałem Narodu Francuskiego, ani francuskich żołnierzy. Nie krytykowałem także załóg i dowódców zatopionych okrętów. Ja krytykowałem — mam nadzieję, że było to oczywiste dla moich Czytelników — tych, w których rękach ta flota się znajdowała. To oni byli tchórzami i zdrajcami i tak zostali ocenieni przez francuskich patriotów z generałem Ch. de Gaulle'em na czele. Do zdrajców tych został także zaliczony, skazany po wojnie przez francuski sąd wojskowy na karę śmierci (zamienioną następnie na dożywotnie więzienie), bohater p. Piaseckiego, dowódca floty w Tulonie — admirał de Laborde.

A teraz zapowiadany opis „wizji” p. Piaseckiego wydarzeń w Tulonie i o jego ocenie tych wydarzeń. Zaczyna p. Piasecki od uwagi zapowiadającej jego wielkie znawstwo tematu: „To, co wypisuje T. Kwiatkowski, ma jednak luźny [dobre i to — TK] związek z prawdą historyczną”. Dowiedzmy się zatem od p. Piaseckiego, jak ta prawda wygląda. Przytoczę ją w dosłownym brzmieniu: „Kiedy w 1942 r. Niemcy zajęli całość terytorium Francji, zażądali natychmiastowego przekazania im okrętów francuskich i skierowali do miasta korpus pancerny (naturalnie nie uprzedzając o tym). Pojawienie się czołgów zaskoczyło Francuzów, mieli do wyboru: albo zdecydować się na chaotyczną próbę wyprowadzenia floty z oczywistym skutkiem rozpętania walki, w której znaczna jej część uległaby zniszczeniu, a inna unieruchomieniu oraz zagrożeniu zniszczenia miasta, albo też wybrać wariant samozagłady nie dającej żadnych pożytków (okrętów) wrogości, choć także nie przynoszący mu strat, jakich doznałby w walce. Wybrano to drugie: załogi zatopily swoje okręty, unieruchamiając także port Tuloński. Można dyskutować, czy był to najlepszy wybór. Nie można jednak twierdzić, że była to zdrada, tchórzostwo i zbrodnia. Tymi określeniami można by szafować, gdyby cała armada poddała się Kriegsmarine [której notabene tam nie było — TK], pomnażając jej potęgę”. A więc Niemcy powinni byli uprzedzić Francuzów, że i kiedy wkroczą do Tulonu, a tymczasem nie uczynili tego, dramie! Będzie pan, panie Piasecki jeszcze bardziej na nich oburzony, gdy panu powiem, że dali pana bohaterowi — ad-

miralowi de Laborde słowo honoru, że do Tuluzi nie wkroczą i floty nie ruszą. Nic przeto dziwnego, że Francuzów — jak to pan mówi — zaskoczyli. Mówi pan słusznie, że walka narażałaby okręty na zniszczenie, ale przynajmniej pan chyba, że samozatopienie też je na to narażało. Pisze pan — też słusznie — że podjęcie walki narażało na zniszczenie także miasto. Czy chciał pan przez to powiedzieć, że gdy walka naraża miasto na zniszczenie, to nie wolno walki podejmować? A więc obrona Warszawy, Gdyni, Lwowa, Leningradu, Stalingradu nie miała sensu? Czy pan sobie, panie Piasecki kpi, czy o drogę pyta?

Chcę jeszcze powiedzieć Czytelnikowi (ponieważ to wyżej obiecałem), jak to było ze swobodą dysponowania flotą francuską przez jej dowództwo. Zacznę od przypomnienia dwóch innych przykładów. Pierwszy dotyczy polskiego okrętu podwodnego „Orzeł”. Internowany w Tallinie, rozbrojony, pozbawiony map oraz przyrządów nawigacyjnych i pilnowany przez strażę estońską, jaką miał swobodę manewru? A jednak uciekł z Tallina i — mimo bardzo dużych wysiłków ze strony Kriegsmarine, by mu w tym przeszkodzić — dopłynął do Anglii, by ważyć dalej. Drugi przykład wiąże się również z Tallinem. W 1941 r., jeszcze przed zaatakowaniem ZSRR, Niemcy zamknęli (z winy Stalina, który zabronił Niemcom) wyjścia z tego portu potężnymi polami zaminowanymi, zamykając w nim w ten sposób radziecką flotę Morza Bałtyckiego. Gdy dywizje niemieckie znalazły się u wrót miasta, dowódca floty nie rozkazał jej zatopić, lecz forsować pola minowe i płynąć do Leningradu. Straty były bardzo duże, lecz większość okrętów ocalała i wzięła później jakże efektywny udział w obronie Leningradu, a następnie zakończyła zwycięsko wojnę na Bałtyku. Co tu decydować panie Piasecki? Patriotyczny etos marynarzy i dowódców, który tak mocno podkreślałem w moich wystąpieniach przeciwko panu i takim, jak pan!

Francuska flota w Tulonie nie była w aż tak trudnej sytuacji, jak pokazane w przytoczonych przykładach. Ścisiej mówiąc: nie byłaby w takiej sytuacji, gdyby nie kunktatorskie machinacje jej dowódców, a zwłaszcza bohatera p. Piaseckiego — admirała de Laborde. Przede wszystkim otrzymała dostatecznie wcześniej przekonujące sygnały ostrzegawcze i miała dużo czasu na przygotowanie odpowied-

nich działań: 10 listopada naczelny dowódca Floty Francuskiej adm. Darlan (też dobry „numer”, lecz wtedy już współpracował z aliantami) zwrócił się do Laborde'a z wezwaniem do wyprowadzenia floty z Tulonu i przybycia do Afryki Północnej. Ponowił ten apel następnego dnia, otrzymując odpowiedź w postaci zwrotu „Cambona” (tzn. a g...! — de Laborde nie lubił Darlana i to też miało wpływ na losy floty w Tulonie!). 11 listopada Niemcy zajęli nieokupowaną część Francji, pozostawiając Francuzom z Vichy tzw. enklawę tulońską. Tego samego dnia okręty zostały postawione w stan gotowości do wyjścia z portu. Gdy Niemcy zapewniły ustnie, że floty i Tulonu nie ruszą jeśli Francuzi zobowiążą się nie wystąpić przeciw państwu „Osi”, ci ostatni, w osobach admirałów Marquis i de Laborde dali słowo honoru i kazali wygasic kotły na okrętach. W rezultacie umowy z Niemcami, ci ostatni zgodzili się na przybycie do tulońskiej enklawy francuskiej piechoty i artylerii wraz z zapasami. Oddziały te wraz z flotą miały stawić opór ewentualnej inwazji alianckiej. Kilka dni później Niemcy zażądali wycofania części tych sił z enklawy, co zostało wykonane. 23 listopada Niemcy zażądali wydania im francuskiej floty handlowej (sto kilkadziesiąt statków o pojemności ponad 650000 BRT), co również zostało wykonane. 24 listopada niemiecki oddział saperów zajął niespodziewanie bazę francuskiego lotnictwa morskiego na wyspie Hyeras w pobliżu Tulonu. Mimo to adm. de Laborde pozwolił, na noc z 26 na 27 listopada (po raz pierwszy od kilku tygodni) zwolnić na ląd część załóg okrętów. Rano został — jak pisze świetnie poinformowany p. Piasecki — „całkowicie zaskoczony” przez czołgi niemieckie i zdecydował się na rozkaz samozatopienia floty. Zatopiona została potężna flota licząca około 80 okrętów (w tym 3 pancerniki i 7 krążowników). Ocalały tylko 4 łodzie podwodne, których dowódcy nie usłuchali rozkazu de Laborde'a i wyprowadzając swoje okręty z bazy, doprowadzając trzy z nich (czwarty był uszkodzony i musiał zawinąć do neutralnej Hiszpanii) szczęśliwie do Algieru.

Tak się przedstawia mój, z konieczności krótki komentarz do stwierdzenia p. Piaseckiego, że to, co wypisuje o wydarzeniach w Tulonie 27 listopada 1942 r. ma jedynie luźny związek z prawdą historyczną.

(cdn.)

wskiej znamy zaledwie kilka nazwisk winnych popełnionych wtedy zbrodni — Stalina, Jezowa, Berii. W Polsce w ogóle nie mamy odpowiedzialnych za ten okres, jeśli nie liczyć paru oficerów skazanych na niewielkie kary więzienia za „stosowanie niewłaściwych metod śledztwa”. Uwierzę, że stalinizm jest już zamkniętą kartą historii i na zawsze odszedł w przeszłość, jeśli ci, którzy wydawali zbrodnicze rozkazy, ci, którzy je wykonywali i ci, którzy opracowywali ich ideologiczne uzasadnienie staną przed sądem, a lagry i inne miejsca cierpień polskich patriotów, jak np. piwnice w gmachu b. MBP na ul. Koszykowej w Warszawie, zwiedzać będą wycieczki szkolne tak, jak zwiedzają Majdanek czy piwnice b. siedziby Gestapo w Alei Szucha w Warszawie. Nie chodzi o zemstę, ani nawet o sprawiedliwość — chodzi o gwarancję, że to się już nigdy nie powtórzy.

P. Kapuściński, Otrębusy

PS. Wydajecie pismo na bardzo wysokim poziomie, niestety, o zasięgu regionalnym. Zadbajcie o odrobinę reklamy — doprowadźcie do tego, żeby Was w radiu czy telewizji cacytowali, umieścili w przeglądzie prasy w jakimś tytule centralnym o zasięgu ogólnokrajowym. Kupiłem „Relacje” przypadkowo, będę stałym czytelnikiem.

P.K.

Chcę zwrócić uwagę kompetentnych czynników naszego miasta na sprawę, która w odczuciach wielu lublinian jest ważna i wymaga szybkiej reakcji. Chodzi o lubelski Grób Nieznanego Żołnierza, a raczej jego stan dzisiaj.

Grób ten stanowi symbol naszej walki o niepodległość, krwi przelanej w imię tej niepodległości, krwi przelanej przez wielu Polaków, a w tym również i przez mieszkańców naszego miasta. Życie złożyli krajowi, bez względu na przekonania i orientację polityczne, w bitwach tragicznego Września, w oddziałach partyzanckich, w ugrupowaniach podziemia, w hitlerowskich obozach zagłady i katowniach, z daleka od kraju w 2-gim Korpusie i Pancernym gen. Maczka oraz na szlaku bojowym 1 i 2 Armii LWP. Oceną tej ofiary powinien być szacunek do tego symbolu, dbałość i troskliwość o wygląd tego miejsca.

A czy tak jest? Grób jest zaniedbany, brudny. Słowem: nie wygląda jak narodowy symbol. List ten piszę w celu zwrócenia uwagi i wywołania reakcji. Odnówić grób trzeba bardzo szybko, obliguje do tego 50. rocznica szlaku hitlerowskiego na Polskę. Już teraz trzeba powołać społeczny komitet i zastanowić się, co można zrobić doraźnie. Natomiast w przyszłości pomyśleć, jak przebudować to miejsce godne najwyższej czci i szacunku.

Jerzy Siądecki, Lublin

## CZY UL. RÓŻY LUKSEMBURG JEST NA MIEJSCU?

Najmocniej przeproszam, że zabieram cenny czas, ale ośmiela mnie okres odnowy i naprawy błędów; chcę skorzystać z wolności słowa i przedstawić następującą prośbę.

Jedna z ulic Lublina od chwili jej powstania została mianowana ulicą Róży Luksemburg. Nazwa ta jest jak najbardziej nie na miejscu. Wiemy dobrze, że Róża Luksemburg ostro sprzeciwiała się walce o wyzwolenie Polski z niewoli. Jej imię, jako jakiś znaczący dla Polski symbol, budzi sprzeciw i gniew. Spotykałam się z tym zdaniem przy wielu okazjach i ja się pod tym podpisuję, wnosząc o zmianę nazwy na bardziej stosowną i możliwą do przyjęcia przez Polaków.

Jestem starym człowiekiem, dobiegam do osiemdziesiątki. Jedyny mój kontakt ze światem to czytanie prasy i oglądanie telewizji. „Relacje” są mi bliskie, posiadają szerokie horyzonty i tak mi jakoś z nimi „po drodze”. Oczywiście ja w tej drodze jestem dużo „do przodu” ze względu na mój wiek.

W. Stalmierska, Lublin

Zwracam się z uprzejmą prośbą o dostarczenie mi Tygodnika Wschodniego „Relacje” nr 12 z dn. 6—12.04.1989 r. Jestem bardzo zainteresowany artykułem pana Ryszarda Reiffa pt. „Sybiracy”. Nadmieniam, że los rzucił mnie i moją rodzinę na Syberię (1941—1946 rok). Ojciec mój do 1924 roku był w czynnej służbie wojskowej, jako ochotnik wstąpił do Legionów Polskich, od 1924—1939 roku pracował na różnych posterunkach jako komendant Policji Państwowej w woj. poleńskim. 17 września 1939 roku pracował na posterunku w Matolu pow. Drohiczyn, podstępnie aresztowany przez NKWD, zginął z obozu Starobielsk. Na podstawie relacji mojej mamy i wujków jestem w stanie opisać historię smutną, ale prawdziwą. Jeżeli tylko redakcja będzie miała trochę miejsca w Tygodniku, jestem w stanie podzielić się ciekawostkami z „tamtego okresu” z czytelnikami.

Jestem czynnym członkiem Stowarzyszenia Sybiraków, legitymacja nr 2789.

Alojzy Wierzbicki, Szczecin

## Dokończenie ze str. 3

Busha. Kiedy pojawi się amerykański samochód policyjny, rozlegną się okrzyki. Tymczasem Bush jest na lunchu u Wałęsy. Połączeni z „baza” setkami bezprzewodowych telefonów korespondenci interesują się głównie menu, oraz propozycją „Solidarności”: 10-miliardowego kredytu rozłożonego na trzy lata. Również pod pomnikiem Stoczniovców Lech Wałęsa nawiąże do tej koncepcji. Wyraźnie sceptyczny początkowo Bush, gdy przekona się, że chodzi o pomoc inwestycyjną, uznaje ją za „wartą rozważenia”. Przemówienie pod Stoczną będzie drugim bardzo dobrym wystąpieniem Busha w Polsce. Tu i na Starym Mieście spotka się z najwyższą reakcją Polaków. „Oni naprawdę wyciągają ręce jak do «wujka Sama» — powie ktoś z tyłu. Lech Wałęsa nie pożegna prezydenta na lotnisku. „Nie wyrazi zgody”, choć, według protokołu MSZ, przewidziany był „w pierwszym rzędzie żegnających osób”.

**WESTERPLATTE.** Milicja nie wpuszcza autokarów prasowych na główny parking. Musimy zatrzymać się w sporej odległości od pomnika. Idziemy po pokrytej trawą, dawno już zagojonej ziemi. Wśród rzadkich drzew sterczą resztki koszar polskiej składnicy tranzytowej. Mija nas autokar z kombatanami. Na dużym placu pod pomnikiem gromada dzieci. Z lewej strony rozciąga się leniwe, spokojne morze. Kombatanicy noszą różne mundury i różne odznaczenia. Są ci z Zachodu i ci stąd. Porucznik Wiktor Bialeus ma pełny mundur przedwojenny. Wraz z kolegami stoi na przodzie. Walczył tutaj jako kapral. „Cieszę się — mówi — że spotkam się z

prezydentem Bushem. Jest to dowód, że może przy obecnych przemianach w naszym kraju, zacząć nas — Westerplattczyków — nareszcie doceniać. W czasie wizyty Mitterranda nie dano nam tej szansy. Inni występowali w naszym imieniu. Dziś jesteśmy tu wszyscy, cała nasza dziewiątka. Siedzimy w pierwszym rzędzie. Dzisiejsze spotkanie, to dla mnie pewien rodzaj symbolu, pewna kłamra spinająca dawny czas i nową Polskę”.

## BUSH PO POLSKU

Dziś wielu Amerykanów dowiedziało się, że pierwszy, że II wojna światowa rozpoczęła się tutaj, a nie atakiem Japończyków na Pearl Harbor. W tej ceremonii uczestniczy niewielu reporterów. Na nabrzeżu, po drugiej stronie kanału stoją grupki ludzi i wystraszonymi. Wiatr porusza flagi obu państw. Prezydent Bush mieszczą się z tłumem młodzieży. Harcerki z Gdyni zawiązują mu na szyi biało-czerwoną chustę. W niezwykle porządku i perfekcyjnej sprawności zbierają swój sprzęt komentatorzy i pracownicy największych agencji i central informacyjnych świata. Kończy się kolejny wielki spektakl. Nigdy niczego podobnego przedtem nie widziałem. Nie było tego ani przy wizycie papieża, ani Gorbaczowa, ani pani Thatcher. Przy tej wizycie korespondenci akredytowani w Polsce w ogóle się nie liczyli. Jak powiedział mi redaktor Tadeusz Kucharski z „Time'a”:

„My nie obsługujemy tej wizyty. Robi to nasze biuro waszyngtońskie”.

To była jeszcze jedna lekcja — tym razem profesjonalna. Amerykańscy dziennikarze uformowani w „crews” (załogi), wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt, agresywni i natarczywi, z materiałami nagromadzonymi przez researcherów byli w stanie w ciągu kilku sekund wyemitować w do-

Czy mogło być inaczej?

Amerykańska służba bezpieczeństwa była zdecydowana i nerwowa, choć zdarzało im się także uspokajać bardziej krewkich polskich kolegów.

**RĘBIECHOWO,** to już koniec wizyty. Czy historycznej?

**O**D dłuższego czasu strony polska i węgierska zabiegały o wizytę prezydenta USA. Dla Węgrov była to pierwsza taka wizyta w historii, dla nas szansa spotkania piątego amerykańskiego przywódcy. William Duffy, attaché ambasady amerykańskiej w Warszawie powiedział mi, że George Bush zawsze z największym sentymentem wspominał swoją pierwszą podróż do Polski. Ale w czasie tej wizyty nie o sentymenty szło. Miała ona z całą pewnością wielopłaszczyznowy wymiar. Amerykanom chodziło o sukces propagandowy, nam o pełną normalizację stosunków. W tym kontekście wizyta wypełniła swe zadanie. Odsoniła także część coraz wyraźniej rozpoznawalnej koncepcji politycznej Busha. Polega ona, najkrócej mówiąc, na zakończeniu doktryny „containment”. Dowiedzieliśmy się z pierwszej ręki, że dla klimatu Wschód—Zachód wciąż utrzymują się tendencje wyzwole. Przekonaliśmy się także naocznie, że ster Białego Domu spoczywa w rękach pragmatycznego, odpowiedzialnego polityka.

George Bush wyszedł z politycznego cienia. Wygląda na to, że stało się to właśnie na polskiej ziemi.

Wiesław Horabik

## KONKURS DLA SPRZEDAWCÓW

**7** LIPCA, w piątek, zaprosiliśmy do redakcji laureatów „Konkursu dla sprzedawców”. Ogłosiliśmy go w kwietniu br., w czwartym miesiącu istnienia naszego pisma, kiedy „Relacje” były tytułem mało znanym i — zarzucając nam to zarówno recenzenci naszego pisma, jak i Czytelnicy — źle popularyzowanym. Chcieliśmy więc sprawić, by poprzez konkurs dla sprzedawców trochę pismo spopularyzować, ale przede wszystkim o to, by „Relacje” „awansowały” na kioskowych ładach: z

eksponowały, popularyzowały i sprzedawały nasze pismo następujące PSD w województwie lubelskim: nr 60 i 105 w Lublinie (dwie równorzędne nagrody); nr 2, 95 i 74 w Lublinie, 27 i 21 w Lubartowie, 60 i 32 w Kraśniku oraz 91 i 8 w Puławach (wyróżnienia finansowe i nagrody rzeczowe). W redakcji gościliśmy nagrodzonych sprzedawców, bądź przedstawicieli załóg tych PSD, które pracują w systemie wieloosobowym: Jadwigę Tremską, Annę Berger, Marię Zablocką, Teodorę Dragan, Geno-



Zbiorowy portret najlepszych sprzedawczyń „Relacji”.  
Fot. Waldemar Stępień

ostatniej pozycji — trochę bliżej oczu kupującego; spod stosu innych tytułów — trochę bliżej powierzchni. W sporym stopniu uzyskaliśmy te cele, choć nie wystarczyło nam pieniędzy, aby ogłosić konkurs obejmujący cały kraj albo przynajmniej cały region. Bardzo małe pieniądze uzyskane z Towarzystwa Przyjaciół Prasy Radia i Telewizji (oraz trochę grosza uskładanego przez ze-pół „Relacji”) — wystarczały na bardzo skromne nagrody: ograniczyliśmy więc zasięg konkursu tylko do województwa lubelskiego licząc, że być może w przyszłości znajdziemy pieniądze na więcej. Nie zakładaliśmy, że nasze rachuby spełnią się już przy okazji spotkania laureatów, ale na ten temat — za chwilę.

Konkursowe jury uznało, że w czasie trwania konkursu najlepiej

wzię Sidor, Iwonę Niewęglowską, Mieczysławę Woszczyk, Modestę Stanic i Teodozję Mastalerz. Pani Teresa Mazurek z PSD nr 2 w Lublinie i pani Krystyna Staniewska z Urzędowa przybyły na uroczystość wręczenia nagród nie mogły. Wszystkim — obecnym i nieobecnym, nagrodzonym i tym, którzy zechcieli wziąć udział w konkursie choć nie zdobyli nagród — dziękujemy raz jeszcze.

Jednocześnie informujemy, że uczestniczący w spotkaniu z laureatami nasz gość, dyrektor Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki w Lublinie, Zbigniew Frac obiecał, że znajdą się pieniądze na ogłoszenie kolejnego konkursu o większym zasięgu terytorialnym. Dziękujemy za to, a konkurs postaramy się ogłosić jesienią.  
Red.



**CENTRUM KOOPERACJI MIĘDZYNARODOWEJ  
EXBUD**  
ul. Manifestu Lipcowego  
KIELCE  
telefon — 31-20-94

**ZATRUDNI DO OBSŁUGI PRZEDSTAWICIELI  
FIRM ZAGRANICZNYCH**  
w Zespole Hotelarsko-Gastronomicznym

**z biegłą znajomością języka angielskiego lub niemieckiego:**

- 1) kierownika zakładu gastronomicznego oraz hotelarskiego,
- 2) kelnerów,
- 3) recepcjonistów ze znajomością stenotypii

oraz

- 1) szefa kuchni,
- 2) mistrza kucharskiego,
- 3) mistrza produkcji garmażeryjnej oraz cukierniczej.

Oferujemy atrakcyjne warunki pracy i płacy.  
Dla osób spoza Kielc zabezpieczamy miejsca noclegowe.  
Oferty prosimy składać pod ww. adresem.

6285/K-2



**TV****CZWARTEK  
20 LIPCA****PROGRAM I**

8.50 Domator: Witaminy w słoiku  
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rucza” (4) — serial fab. prod. bulg.  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.20 „Kojak w Budapeszcie” — film sensacyjny prod. węgier.  
16.45 Program dnia  
16.50 Tradycje w barwie i orężu wojskowym — wojskowy progr. hist.  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TVP  
18.30 „Twente” — film dok. Andrzeja Wojnacha z Holandii  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 DT  
20.05 „Na własną rękę” — film krym. prod. franc. Reż. Jean-Claude Roy  
21.35 Kroniki PAT: Tak było...  
21.50 Pegaz  
22.40 Zoe Coleman — recital piosenkarki z Wielkiej Brytanii  
23.05 DT — echa dnia

**PROGRAM II**

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Strachy na łachy” — serial animowany prod. ang.  
19.00 Miss Polonia od kuchni — reportaż Tadeusza Tarkowskiego  
19.30 „Świat roślin” — odc. 4 pt. „Rośliny lecznicze” — serial przyr. prod. CSRS  
20.00 Wielki tenis  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Kto się boi, ucieka” — film fab. prod. CSRS. Reż. Dusan Klein  
23.20 Komentarz dnia

**PIĄTEK  
21 LIPCA****PROGRAM I**

8.50 Domator: Witaminy w słoiku  
9.00 Zielone Teleferie  
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial fab. prod. CSRS  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 DT — dodatek gospodarczy  
10.25 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.35 „Na golasa” — komedia prod. węg.  
15.50 Domator: Przed weekendem  
16.50 Program dnia  
16.55 Mieszkać — wszechnica budowlana  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TVP  
18.50 Bez granic: Katamaran  
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 DT  
20.05 Kino muzyczne Kyrdyńskiego: „Zabawna dziewczyna” — musical prod. USA.

Reż. Wiliam Wyler; wyk. Barbra Streisand, Omar Shariff, Kay Medford  
22.35 Kroniki PAT: Tak było...  
22.50 Czas — magazyn public.  
23.20 DT — echa dnia  
23.40 Świat jaki jest: „W królestwie kokainy” — film dok. prod. ang.  
0.10 Jutro w programie

**PROGRAM II**

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Konwój  
19.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
19.30 Dookoła świata: W Malmö  
20.00 „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 XXIX Kaliskie Spotkania Teatralne  
22.15 Nie tylko miód — program public.  
22.35 Filmy z Humphreym Bogartem: „Oklahoma Kid” — western prod. USA  
23.50—23.55 Komentarz dnia

**SOBOTA  
22 LIPCA****PROGRAM I**

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Kino Teleferii: „Fraggles” — serial prod. ang. i „Siedem życzeń” (1) — serial fab. prod. pol.  
10.10 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.30 DT — wiadomości  
10.40 Stare, nowe, najnowsze

11.25 Wojskowy program dok.  
11.50 Uroczysta odprawa warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie z okazji 45 rocznicy Odrodzenia Polski  
12.50 Kwiaty przy mundurze — Kolobrzeg '89  
13.55 „Ankieta” — film dok. Ludomira Motylskiego  
15.15 Komedia, komedie, komedie: „Jadą goście, jadą” — prod. pol. Reż. G. Zalewski, J. Rutkiewicz, R. Drobaczynski; wyk.: Kazimierz Opaliński, Mitchell Kowal  
17.05 Losowanie Dużego Lotka  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Nad kaszubskim morzem”: „Mój czas osobny” — film dok. Romualda Dobrzyńskiego  
18.00 „Między Chelmem a Lublinem” — program dok.  
18.25 Butik  
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wiklinowej Zatoki  
19.30 DT  
20.05 „Och, Karol” — komedia TVP. Reż. Roman Zaluski; wyk.: Jan Piechociński, Dorota Kamińska, Marta Klubowicz, Danuta Kowalska, Jolanta Nowak, Urszula Kasprzak  
21.40 Spotkania ze Szwedkiem (2): „Gdzie tu się można powiesić”  
22.00 Tydzień w polityce  
22.10 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.30 Dobry wieczór, tu Łódź — program rozrywkowy  
23.30 Jutro w programie  
23.35 Telegazeta  
23.40—1.25 Kino sensacji: „Dziewczyna do dziecka” — film prod. francusko-włoskiej. Reż. Rene Clement; wyk.: Maria Schneider, Sydne Rome, Robert Vaughan, Nadja Tiller

**PROGRAM II**

12.30 W świetle ciszy — program dla niesłyszących  
12.55 Powitanie  
13.00 „Ciemny kryształ” — baśń lalkowa prod. ang.  
14.30 Konwój  
15.00 „Ordy” — odc. pt. „Odkrycie bieguna południowego” — serial animowany prod. japoń.  
15.25 Spektrum  
15.40 Zielony świat: „Roślinne wzory i kolory” — film dok. prod. pol.  
16.00 Zwierzęta świata: „Ptaki boga słońca” — film przyr. prod. ang.  
16.25 Superbryła  
16.45 Nabożeństwo Kościoła Polsko-Katolickiego z katedry wrocławskiej  
17.05 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. 12 pt. „Państwo w państwie”  
18.00 Szansa — teleturniej  
19.00 „Awans wsi” — reportaż  
19.30 Korczowski w Zachęcie — reportaż  
20.00 XVII Festiwal Momiuzzkowski w Kudowie: Koncert galowy  
21.00 Studio sport: Turniej piłkarski Skarżysko-Kamienna '89  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Chateauvallo” (11) — serial prod. franc.  
22.40 Polacy: „Ludzie, którzy zadziwili świat” — reportaż  
23.00 Konwój  
23.30 Komentarz dnia

**NIEDZIELA  
23 LIPCA****PROGRAM I**

8.55 Kino Teleferii: „Mio, mój Mio” — ekranizacja baśni Astrid Lindgren  
10.30 DT — wiadomości  
10.35 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.45 „Ludy Ziemi” — odc. 1 pt. „Indusi” — serial dok. prod. hiszp.  
11.45 Kraj za miastem  
12.10 Telewizyjny koncert życzeń  
12.55 Studio sport  
14.45 Morze — magazyn public.  
15.05 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty  
15.35 „Panna dziedziczka” (10) — serial fab. prod. brazył.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Program public.  
18.15 Marek Sierocki zaprasza  
18.40 Antena  
19.00 Wieczorynka: Trzy misie  
19.30 DT  
20.05 „Światła kabaretów” (2) — serial fab. prod. ang.  
21.00 Siedem dni: Świat  
21.30 Sportowa niedziela  
22.20 Kipomania  
22.55 Premiery po latach: „Do młodości” i „Sposób bycia” — filmy Andrzeja Titkowa  
23.55 Telegazeta  
23.57 Jutro w programie

**PROGRAM II**

10.50 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących  
11.25 „Światła kabaretów” (2) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)  
12.20 Wojskowy program dok.  
13.00 Lokalny koncert życzeń  
13.25 Jutro poniedziałek  
13.55 Powitanie  
14.00 Polska Kronika Filmowa

14.10 100 pytań do...  
14.50 „Polacy — Agnieszka Osiecka” — film dok. Grażyny Pieczuro  
15.50 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina  
16.05 „Świat ciemnego kryształu” — film dok. prod. ang.  
17.00 Konwój  
17.30 Blżej świata  
19.00 Wywiady Ireny Dziezdzic  
19.30 Wrocławski epizod Marka Hłaski  
20.00 Studio sport: Turniej piłkarski Skarżysko-Kamienna '89  
21.00 Konwój  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Walc w chmurach” — film fab. prod. ang. Reż. Gordon Flemyng; wyk.: Kathleen Beller, Francois Eric Gendro, Paul Maxwell  
23.20 Komentarz dnia  
23.25 Futurologia na dobranoc

**PONIEDZIAŁEK  
24 LIPCA****PROGRAM I**

17.00 Program dnia  
17.05 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TVP  
18.30 Echa stadionów  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Chcę się bój  
19.10 Gorące linie  
19.30 DT  
20.05 Spektakl na bis: William Faulkner — „... i odpuść nam nasze winy”. Reż. Maciej Dutkiewicz; wyk.: Maria Pakulnis, Grażyna Strachota, Jerzy Kamas, Wojciech Wysoczek i inni.  
21.15 Kroniki PAT: Tak było...  
21.30 „Szwedzka bajka” — film dok. Janiny Gierak  
22.00 „Królowie poskramiaczy dzikich zwierząt” — recital zespołu „2 + 1”  
22.30 Sprawa dla reportera  
23.10 DT — echa dnia

**PROGRAM II**

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych  
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: O śmieciach, postaciach, pomarańczach  
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
19.30 Spóźniony jubileusz, czyli Legnica Cantat'20  
20.00 Teletrans  
20.30 Egipt — program public.  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Biografie: „Sacha Guitry” — film dok. prod. franc.  
22.40 Komentarz dnia

**WTOREK  
25 LIPCA****PROGRAM I**

8.50 Domator: Patent na lato  
9.00 Teleferie: Wakacje z Neptunem  
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (1) — „Rakieta na start” — serial prod. węgier.  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 DT — dodatek gospodarczy  
10.25 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.35 „Moja kuzynka Rachel” — serial prod. ang.  
16.40 Program dnia  
16.45 Z Polski rodem — magazyn polonijny

17.15 Teleexpress  
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TVP  
18.35 Laureaci'89 „Straszki” — film dok. Wandy Rollny  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka  
19.10 Od A do Z — H jak hot dog  
19.30 DT  
20.05 „Moja kuzynka Rachel” (2) — serial prod. ang.  
20.55 Kroniki PAT: Tak było...  
21.10 Konferencja prasowa rzecznika rządu  
21.25 Jeszcze raz Okudźawa  
21.55 Studio Solidarność  
22.40 DT — echa dnia

**PROGRAM II**

17.65 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.35 „Wojna domowa” (11) — „Co każdy chłopiec...” — serial TVP  
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny  
20.00 Non stop kolor: „Terence Trent d'Arby” — film dok. prod. ang.  
21.00 Barwy jazzu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Królewskie polowanie na słońce” (2) — film hist. prod. ang.  
22.40 Komentarz dnia

**SRODA  
26 LIPCA****PROGRAM I**

8.50 Domator: Patent na lato  
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie  
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek” — „Ach, ten nasz baranek” — serial prod. CSRS  
10.00 DT — wiadomości  
10.10 Kronika Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży  
10.20 „Weźcie mężczyzn pod ochronę” — komedia prod. ZSRR  
16.40 Program dnia  
16.45 Losowanie Express i Super Lotka  
16.55 Telewizyjny Informator Wydawniczy  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TVP  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka  
19.10 „Bocznymi drogami” — reportaż  
20.05 „Uprowadzenie Kari Swenson” — film sensacyjny prod. USA  
21.40 Kroniki PAT: Tak było...  
21.55 Spojrzenia  
22.25 Historia bursztynowego słowika (1)  
22.55 Klub Menedżera  
23.25 DT — echa dnia

**PROGRAM II**

17.55 Program dnia  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Wiem wszystko — teleturniej  
19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni  
19.30 Życie muzyczne: Festiwal Chopinowski — Duszniaki'89  
20.00 ABC — teleturniej językowy  
20.30 Galeria 37 milionów: Arsenal'89  
21.00 „Z ziemi polskiej” (4) — film dok. Andrzeja Chiczewskiego  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W labiryncie” (30) — serial TVP  
22.15 997 — kronika kryminalna  
23.15 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska, Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach. Informacji o prenumeracji na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

# GOŚCIERADÓW: 2 X NIE

## Hen Spider

**W** GOŚCIERADOWIE w województwie tarnobrzeskim grupa desperatów postanowiła udowodnić sobie oraz temu i owemu tu i tam, że mieszkańcy tej gminy nie chcą elektrowni atomowej pod bokiem. Nie chcą żyć w cieniu atomowego wirusa, w perspektywie śmierci na stojąco lub rozpisanej na dziesięciolecia.

Wpadli na pomysł zorganizowania plebiscytu na ten temat, obejmującego, jak w głosowaniu do Sejmu, wszystkich mieszkańców gminy, w liczbie ponad 5400 osób. Było to wyzwanie na miarę czterdziestolecia PRL. Jak wiadomo, niepisany monopol na plebiscyty spoczywał w rękach państwa na równi z monopolem spirytusowym, tytoniowym i zapalczym. Aktualna Konstytucja PRL co prawda nie mówi o monopolu na publiczne, powszechne i bezpośrednie głosowania, zwłaszcza lokalne, tym bardziej, że od niedawna wszystko co nie zakazane jest dozwolone. Ostatecznie takie gminne referendum to śmieszna sprawa po narodowym plebiscycie 4 czerwca. Koszt znikomy chętnie go wysłuchają.

a spróbować warto. Choćby po to, by wcisnąć Gościeradów do księgi jakiegoś polskiego Guinnessa, a po drodze dowiedzieć się, jaka jest tak zwana mobilność mieszkańców Gościeradowa; nie tylko do budowy dróg i zlewni mleka, lecz także w obliczu atomowego molocho.

Akcja była w tak zwanym toku. sześć tysięcy kart do głosowania wydrukowanych społecznym sumptem, lokalny wyznaczony i przygotowany, komisja w komplecie, gdy wtem wpada dyrektor wydziału organizacyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu, z hukkiem ciska dyrektorską teczkę na stół i woła że to bezprawie, nie było pozwolenia!

Na to komisja, że pan dyrektor niech coś weźmie na uspokojenie, najlepiej jak wyjdzie stąd na dziesięć minut, zacerpnie świeżego, jeszcze nie zatrutego powiewu od gościeradowskich błoni i gdy usna, że może już z nimi rozmawiać po ludzku, czyli w duchu demokracji i pluralizmu, to owszem, chętnie go wysłuchają.

Dyrektor posłuchał, pomyślał chwilę, wyszedł jak kazano. Ale teczki nie zabrał: to już coś. Po dziesięciu minutach wrócił i powiada: w porządku. Nie ma sprawy. Możecie robić to referendum.

Zdziwienie. Parę minut, a inny człowiek! Ba! Na te dziesięć minut, na tę metamorfozę pracowało całe osiem ostatnich lat!

Plebiscyt odbył się bijając na głowę dwie sprawy: garstkę urzędowych zwolenników elektrowni oraz frekwencję wyborczą z 4 czerwca. Do głosowania stanęło 90 proc. uprawnionych.

Wynik był druzgocący dla atomu. Prawie cały elektorat gościeradowski opowiedział się przeciw budowie siłowni na terenie gminy, a prawie tyle samo powiedziało „nie” na drugie pytanie referendum: czy jesteśmy z rozwojem energetyki jądrowej w Polsce.

Zwycięstwo całkowite, spektakularne, bezprecedensowe. Ale jaki skutek praktyczny? Czy wystarczy, aby projektanci elektrowni wymieśli się precz z Gościeradowa? Ta sama zasada — co nie zabronione jest dozwolone — zacznie teraz działać na niekorzyść plebiscytu. Nigdzie bowiem nie jest napisane, zwłaszcza w Konstytucji, że tym, czego ludzie w danej miejscowości nie chcą, nie można ich uszczęśli-

wić w imię tak zwanych wyższych racji. Jest tu paralela z wielkim plebiscytem ogólnonarodowym z 4 czerwca: wniki równie jednoznaczny a wszystko po staremu; ceny rosły, Chińczycy i nie tylko, trzymają się mocno. Żeby ostudzić tryumfalizm gościeradowian, wystarczy przytoczyć im liczne przykłady wielkich trucicieli środowiska. Ludzie protestują, ślą petycje, kładą się na drodze samochodów wiozących rzęciowe odpady na nielegalne wysypiska „Polamu” w Rzeszowskim, a truciele dalej trują.

Gościeradów zrodził jednak niebezpieczny precedens, który może rozlać się na cały kraj, rodząc lawinę lokalnych plebiscytów na ten czy ów temat — referendów gminnych, miejskich, wojewódzkich.

I drugi precedens — jak władza ma w przyszłości reagować na tak jednoznaczne wyniki referendum lokalnego? Uszanować i nie budować truciciela? Złakceważyć i budować? Jeśli to drugie, to w jakim świetle stanie wiarygodność tak zwanych samorządów terytorialnych, tych budzących wielkie nadzieje przyzwołków samorządności, współzrządzenia, współdecydowania?

Wiedzieć by to warto. Już, teraz. Zanim będzie za późno na plebiscyty, referenda i tym podobne mrzonki o samowładztwie społeczeństwa.

## Patrzeć pod kątem

# RÓŻNE TWARZE SPORTU

Andrzej Z. Kowalczyk

**O**d dłuższego czasu w sportowym Lublinie trwa euforia. Piłkarze Motoru powrócili do ekstraklasy, pokonując w barażowych spotkaniach szczytną Pogon. Trochę żaluję, iż nie dane mi było obejrzeć pierwszego, wyjazdowego meczu naszych piłkarzy. Jak bowiem wynika z prasowych relacji było to spotkanie o nader dramatycznym przebiegu. Oto drużyna gospodarzy prowadząc 3:0 i mając już praktycznie zapewnione pozostanie w pierwszej lidze, w samej końcówce meczu pozwala sobie strzelić dwie bramki, które na nowo wyrównały szanse. Wyobrażam sobie radość jednej a przygnębienie drugiej drużyny. Wyobrażam sobie nastroje szczytnych kibiców. Taki już jest jednak sport.

Ale przecież nie tylko taki.

W czasie, gdy piłkarze Motoru zdobywali swoją zaliczkę na ekstraklasę, telewizja pokazała inny mecz piłkarski. O z gruntu innym charakterze. Mecz, w którym nie było ważne, kto wygra, nie liczyły się bramki, nie grano o punkty czy pieniądze. Był to mecz w którym nie mogło być pokonanych. Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Tak, jest. Przekonali się o tym wszyscy, którzy oglądali mecz ZSRR — Reszta Świata, będący pożegnaniem znakomitego piłkarza radzieckiego, Olega Blochina.

Może zresztą nie powinienem używać słowa mecz. W istocie był to bowiem raczej wielki sportowy festyn. Zarówno dla uczestników, jak i widzów. Widać było wyraźnie, iż i jedni i drudzy bawili się znakomicie. Trudno zresztą było nie bawić się obserwując blazenadę (w dobrym tego słowa rozumieniu) niezastąpionego w takich razach, Jean-Marie Pfaffa czy Olega Blochina w roli... bramkarza. Bawili się sami piłkarze, bawili zgromadzeni na stadionie publiczność, bawili się telewizyjni. Ale to przecież nie wszystko. Albowiem, poza ową rozrywkową otoczką, zobaczyliśmy także futbol wysokiej klasy. Okazało się, że stare gwiazdy — Breitner, Antognoni, Dirceu, Gentile i inni wciąż jeszcze wiele potrafią. A że w meczu tym nie chodziło o wynik, grali swobodnie, na luzie, fair. Tak, jak grało się w piłkę nożną przed wielu laty, zanim jeszcze została ona całkowicie zdominowana przez wielkie pieniądze. Owaj kijowski mecz był jakby powro-

tem do korzeni sportu. Zjawiskiem niecodziennym w czasach, gdy nawet idea olimpijska została zbrukana politycznymi machinacjami (igrzyska w Moskwie i Los Angeles), aferami dopingowymi i szowinizmem (Seul).

Tak było w środę. A w trzy dni później widziałem zupełnie inny mecz. Rewanżowe spotkanie Motoru z Pogonią. Tu grano o coś. Grano o ekstraklasę i — jak przypuszczam — sówite premie. Toteż inny był obraz meczu. Zawodnicy zarówno jednej, jak i drugiej drużyny robili wszystko co mogli, by udowodnić swoją wyższość. Gra była ostra, twarda, nie brakowało fauli. To wszystko jednak można zrozumieć. Wszak w ferworze walki trudno czasem zapamiętać nad nerwami. Pochwalać to trudno, ale zrozumieć można. Znacznie gorsze było to, co działo się na trybunach.

Szczerze mówiąc sobotni mecz był pierwszym od dłuższego czasu oglądanym przeze mnie na stadionie. Zazwyczaj po prostu nie mam ochoty na oglądanie popisów pijanych wyrostków powiewających szalikami o barwach klubowych, rzucających petardy i butelki, wywołujących awantury. Nie mam ochoty słuchać ordynarnych przyspiewek i okrzyków. Nie chcę oglądać transparentów z gwiazdą Dawida i napisem: „Avia Jude. Raus!” (autentyk, copyright by kibice Motoru), bo jest to chamskie, a chamstwem się brzydzę. Wolę transmisje telewizyjne, podczas których wszystko to dociera do widza jakby nieco przytłumione. Przeszefiltrowane przez kamerę i mikrofon. Tym razem jednak poszedłem na stadion. I — oczywiście — zetknąłem się z tym wszystkim, co obrzydza mi oglądanie widowisk sportowych na żywo.

I jeszcze z czymś gorszym. Z panującymi na trybunach skrajnym szowinizmem. Niemal namiętną wrogością do drużyny przeciwniej, która na świetlnej tablicy pokazuje wynik spotkania określona było mianem GOSCI. To prawda: że po końcowym gwizdku wszystko to zamieniło się w eksplozję entuzjazmu dla zwycięskiej drużyny, ale przecież fakt ów niczego nie zmienia. Ja także szczerze cieszę się z zwycięstwa Motoru i gratuluję zawodnikom awansu do ekstraklasy. Atoli radość owa nie zatarała u mnie uczucia niesmaku z jakim myślę o tzw. kibicach.

## MUZYKA I PIENIĄDZE

### Mariusz Dubaj

**W**NASZYM społeczeństwie wciąż jeszcze pokutuje przedwojenny mit biednego muzyka, przymierającego głodem. Krzysztof Penderecki zwierzał się na jednym ze spotkań, że gdy w domu oznajmił o swoim wyborze zawodu kompozytora, jego dziadek stanowczo się temu sprzeciwił, przestrzegając młodego człowieka przed popadnięciem w nędzę. Słuchacze, znając wielką fortunę Mistrza, skwitowały tę informację śmiechem.

Jak więc wygląda sytuacja materialna muzyków? Otóż bardzo różnie, w zależności od rangi dorobku i umiejętności jego uzewnętrznienia. Wcale nie tak rzadkie są wielkie kariery finansowe artystów. Wystarczy wymienić Niccolò Paganiniego, który żył bardzo oszczędnie, sprzedając nawet bilety na swoje koncerty. Do jego olbrzymich dochodów przyczyniła się także aura niesamowitości i skandalu, przyciągająca do sal koncertowych ówczesnej Europy tłumy ludzi.

Fryderyk Chopin — biorąc od arystokratycznych uczennic wysokie honoraria za lekcje — stał się jednym z najlepiej sytuowanych Polaków w Paryżu. I to w krótkim czasie. Jego utwory publikowało kilka europejskich firm wydawniczych, płacąc autorowi wysokie stawki.

W dzisiejszych czasach wielkie fortuny są udziałem nie tylko gwiazd piosenki czy zespołów rozrywkowych, ale też wybitnych kompozytorów, wirtuozów, śpiewaków. Muzyka posługuje się językiem uniwersalnym, dostępnym na całym świecie. Stąd też artyści mogą występować z powodzeniem nie tylko we własnym kraju.

Nie znaczy to, że w sztuce pieniądze są najważniejsze. Wprost przeciwnie: najbardziej liczy się realna wartość dorobku, późniejsze uznanie fachowców, a dopiero na końcu — zainteresowanie impresariów, dyrektorów instytucji muzycznych oraz publiczności.

Co więcej, artyści często zdobywają się na altruistyczne gesty. Ignacy Jan Paderewski wielokrotnie przeznaczał honoraria z koncertów na cele publiczne. Ufundował on na przykład Pomnik Grunwaldzki oraz jeden z gmachów akademickich w Krakowie. Również obecnie muzycy przeznaczają duże sumy na cele służące społeczeństwu.

Ale można też powołać się na przykłady W. A. Mozarta, czy F. Schuberta, którzy zmarli w nędzy. Mozart pozostawił — jak obliczono — około 35 tysięcy dolarów długów, pomimo że miał znaczne dochody za dzieła operowe, wydania, koncerty, lekcje etc. Przypuszcza się, że przyczyną nędzy tego genialnego twórcy był hazard. Z kolei Schubert był człowiekiem bardzo nieśmiałym. Na jego naiwności i nieporadności zerowali wydawcy, którzy — osiągnąwszy ze sprzedaży utworów znaczne zyski — płacili kompozytorowi śmiesznie małe sumy.

Problemy finansowe zawsze budziły i zapewne budzić będą emocje. Nie jest jednak dobrze, gdy przesłaniają one to, co w sztuce jest najistotniejsze, a więc autentyczne przeżycia i wrażenia estetyczne.

## W NUMERZE 28. OPUBLIKUJEMY:

● LISTY — POLEMKI — DYSKUSJE ● PROFESOR KŁOCZOWSKI DLA „RELACJI” ● DYSKUSJI O PATRIOTYZMIE — CIAĞ DALSZY ● POLMOS PRZED SĄDEM ● HAK NA MASARZA ● FIZYK W GANDAWIE ● NOTATNIK ANGIELSKI ● Z BIEGIEM BUGU ● JAKI PROFIL „RELACJI”? ● POLEGŁ Z RAK „SWOICH” ● TOWARZYSZE BRONI